

LUCAS
Books

SIÓDMA WIEŻA

UPADEK



Garth Nix

UPADEK

Tytuł oryginału: *The Fall*

© 2000 Lucasfilm Ltd & TM. All rights reserved

© First Scholastic printing, 2000

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o. o.,
Warszawa 2002

Projekt okładki:

Madalina Stefan, Steve Rawlings

Redakcja:

Marek Karpiński

Korekta:

Anna Sidorek

Wydanie pierwsze, Warszawa 2002

Egmont Polska Sp. z o. o.

01-029 Warszawa, ul. Dzielna 60

tel. (22) 838 41 00

ISBN 83-237-1459-2

Opracowanie typograficzne, skład i łamanie:

Grażyna Janecka

Druk:

Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie

*Mojej rodzinie i przyjaciołom
ze specjalnymi podziękowaniami
dla Davida Levithana, i
bardzo ważnego architekta Siódmej Wieży.*

Tal podciągnął się na rękach i wgramolił na kamienny występ, sterczący z muru wieży. Zatrzymał się, by zaczerpnąć tchu i spojrzął w dół na migocące w oddali światła, wypełniające zarys głównych zabudowań Zamku. Od wysokości zakręciło mu się w głowie, więc szybko odwrócił wzrok, ujmując mocniej chropowaty kamień. Było gorzej, niż się spodziewał. Podmuchy wichury rozszczały się na Czerwonej Wieży, wirowały między pozostałymi sześcioma, by zawróciwszy uderzyć w Tala ze zdwojoną siłą. Było też coraz zimniej, a zgrabiałe dłonie nie ułatwiały wspinaczki. Na szczęście helioryt ogrzewał Tala, nie pozwalając, by mróz przeniknął go do głębi.

Dotarcie do tego miejsca zajęło Talowi dwie godziny. Dwie godziny niezwykle trudnej wspinaczki po gargulcach i inkrustacjach zdobiących mury wieży. Teraz zaledwie cztery ramienie dzieliły go od miejsca, gdzie wieża ginęła w nieprzeniknionej czerni, obejmującej cały nieboskłon. Tu zaczynała się Sfera, dziwna bariera niepuszczająca światła słonecznego i pogrążająca w mroku cały świat.

Wokół Tala nie było jednak całkiem ciemno. Podobnie jak większość pomieszczeń Zamku, wewnątrz Czerwonej Wieży rozświetlały helioryty, wmurowane w ściany i sklepienia. Blask kamieni wydostawał się przez okna, rozpraszając mrok i oświetlając chłopcu drogę. Pozostałe wieże również mieniły się miriadami światła, wysyłając w niebo pęki jaskrawych promieni.

Każdy ozdobny gzyms i gargulec kładł na brązowym murze nieruchomą plamę cienia. Był tam także cień Tala. Podobnie jak cienie wszystkich wybranych, wcale nie był zarysem sylwetki jego właściciela. Niekiedy upodabniał się do trzynastoletniego chłopca, innym razem wyglądał jak kot, dwugłowy korwil, albo przyjmował formę zgoła niemożliwą do opisanego. Nie był to cień, z którym Tal przyszedł na świat. Był to przypisany doń patron, magiczna istota z królestwa duchów Aeniru, którą wkrótce po urodzeniu Tala zastąpiono jego naturalny cień. Cień patron strzegł go i pomagał w potrzebie, ale nie tylko dlatego Tal tak bardzo go cenił. Oglądanie w lustrze swoich pajęczych koślawych kończyn i wiecznie zmierzwiionych włosów było dlań wystarczającą przykrością. Był szczęśliwy, że nie prześladowuje go równie szpetny cień.

Cień patron nie zdradzał, że Tal jest niższy niż większość chłopców w jego wieku. Nie miał też krzywego uśmiechu, który zdaniem Tala nadawał jego twarzy nieco głupkowaty wygląd. Choć mało kto zwracał uwagę na owe niedoskonałości, dla Tala były one źródłem wstydu i nieopisanej udręki. Potrafił spędzić przed lustrem długie godziny, ćwicząc uśmiechy i usiłując wyprostować nieznaczne skrzywienie lewego kącika ust. Nie przeszkadza-

ło mu bynajmniej, że jego patron jest jednym z najskromniejszych i najsłabszych duchów Aeniru, zaledwie opiekunem dzieci. Po ukończeniu trzynastu lat i dziewięciu miesięcy, co miało nastąpić już za dwa miesiące, Tal miał sam wkroczyć do Aeniru i związać ze sobą jedno z żyjących tam stworzeń, by odtąd służyło mu jako prawdziwy mrokostwór.

Jeśli oczywiście będzie mógł wejść do królestwa duchów. Tal chwycił mały helioryt, zawieszony na jego szyi na srebrnym łańcuszku. W zaciśniętej dłoni poczuł promieniujące z kamienia ciepło. By wejść do Aeniru, musiał mieć potężniejszy kamień, helior. Potrzebował go nie tylko dla siebie, ale dla swojej rodziny: dla matki, młodszego brata i zupełnie malutkiej siostrzyczki.

Ponieważ jego matka była bardzo poważnie chora, a ojciec zniknął w tajemniczy sposób razem z rodzinnym heliorem, odpowiedzialność za przyszłość rodziny nagle spadła na barki Tala. Nie był na to przygotowany, ale też nie miał wyboru. Musiał zepchnąć swój strach daleko w najgłębszy kąt duszy i trzymać go tam tak długo, jak długo się da. Musiał być silny, nawet jeśli nie wiedział, skąd ma czerpać ową siłę.

Pragnął, by jego ojciec wrócił. Pragnął, by jego matka wyzdrowiała. Jeśli zawiedzie teraz, straci ich na zawsze.

Jedynym sposobem na ocalenie rodziny było zdobycie nowego heliorytu - potężnego heliorytu, helioru, a nie dziecięcego kamyka, jaki nosił na piersi. Tal westchnął i wsunął klejnot z powrotem za koszulę. Czekająca go jeszcze długa wspinaczka, poza Sferę, w strefę słonecznego blasku.

Tal wiedział, jak wygląda światło słońca. Choć widział je wiele razy w Aenirze, świecie duchów, tam było ono mętne, nie tak jaskrawe jak powyżej Sfery. Prawdziwe słońce widział tylko raz. Kiedy miał dziesięć lat, jego klasę zabrano poza Sferę i pokazano helioryty, dojrzewające w srebrnych sieciach rozwieszonych za murami wież. Niebo było zachmurzone, a mimo to dzieci mogły spoglądać na zewnątrz tylko poprzez ochronną półprzezroczystą mgiełkę, stworzoną przez ich patronów. Helioryty chłoneły światło gwiazdy, ale nawet najpotężniejsze nie dorównywały jej jasnością i intensywności blasku.

Wówczas Tal wstąpił nad Sferę, wchodząc po schodach Pomarańczowej Wieży. Nigdy nie przypuszczał, że pewnego dnia będzie wspinał się po zewnętrznym murze, by... ukraść helior.

- Ukraść helior - mruknął w zadumie.

Był to środek ostateczny, ostatnia szansa na ocalenie jego i rodziny. Próbował już wszystkiego i wszystkie sposoby zawiodły.

Było to także najbardziej ryzykowne przedsięwzięcie, jakie mógł sobie wyobrazić. Miał za sobą trudną wspinaczkę, ale to była najłatwiejsza część zadania. Powyżej Sfery czyhały nań pułapki i strzegący klejnotów wartownicy: potężne mrokostwory, zdolne w ciągu kilku chwil pożreć patrona i schwytać intruza. Tal mógł nawet spotkać tam innych wybranych, purpurytów, którzy z pewnością nie przepuściliby okazji pognębienia chłopca z wyższego w hierarchii zakonu oranżystów. Dla niego oznaczałoby to Salę Koszmarów, albo coś jeszcze gorszego, a dla rodziny katastrofę.

Tal potrzęsnał głową i podjął wspinaczkę. Po chwili wciągnął się na kamienny łeb potwora, wyrastający z muru tuż pod Sferą, i odruchowo pochylił głowę, by opóźnić moment zetknięcia się z rozpościerającą się tuż nad nim czernią. Przyszło mu na myśl, że to tak, jakby spod powierzchni wody spoglądać w górę, tyle że w ciemność zamiast światła. Wyciągnął rękę i zadrżał, widząc, jak znika w mroku. Nic się jednak nie stało. Nadal czuł, że ręka jest na swoim miejscu.

Niewiele myśląc wstał i natychmiast otoczyła go nieprzenikniona ciemność, a piersi przeszył bolesny skurcz. Miał wrażenie, że jego płuca nagle wyschły. Nie mógł odychać. Ciemność wysysała z niego powietrze!

Ogarnięty paniką zanurkował z powrotem w bezpieczny półmrok, pomiędzy dobywające się z wież smugi światła. Jego dłoń bezwiednie zacisnęła się na heliorycie, płonącym teraz jaskrawym blaskiem. Tal szybko skoncentrował się i stłumił światło kamienia. Nie chciał przyciągnąć niczyjej uwagi. Niemal w tej samej chwili z dołu dobiegł go słaby okrzyk. Tal skulił się i przywarł do muru, przekonany, że go zauważono. Wtedy zdał sobie sprawę, że to, co usłyszał poprzez zawodzenie wichru, nie było okrzykiem strażnika ani nieludzkim skowytym mrokostwora. Brzmiało raczej jak wezwanie pomocy.

Wołanie rozległo się ponownie i Tal poczuł, że żołądek kurczy mu się z przerażenia. Znał ten głos! Spojrzał w dół, by dobre dwie setki ramieni poniżej ujrzeć migotanie biało-pomarańczowej koszuli, targanej porywistym wiatrem. Była to taka koszula, jaką sam nosił: biała dzie-

cięca szata z kołnierzem i mankietami noszącymi barwę jego zakonu. Ktoś za nim szedł.

To musiał być jego młodszy brat Gref, dziewięcioletni desperado, który starał się naśladować go we wszystkim, co robił. Tal rozpoznał jego głos i zauważył błysk małego, wąskiego heiiorytu.

- Jeśli mnie tkniesz, Tal rozerwie cię na strzępy! Zostaw mnie! Zos...

Wołanie urwało się. Tal wstrzymał oddech, przekonany, że jego brat spadł z wieży. Fala grozy sparaliżowała mu mięśnie.

Nie, Gref nie spadł. Porwał go olbrzymi mrokostwór o wyglądzie borzoga, stworzenia wymarłego wiele wieków temu. Mierzył co najmniej cztery ramienie wysokości i miał niebywale szerokie barki. Ramiona zwisały mu niżej kolan, a dwa kły sterczące z dolnej szczęki miały długość dłoni Tala. W bijącej od wieży poświacie monstrum falowało różnymi odcieniami ciemności jako mglisty kształt o rozmywających się w półmroku konturach.

Potwór jedną łapą ścisnął szamoczącego się Grefa, a drugą owijał mu twarz jego cieniem patronem. Nigdzie w pobliżu nie było widać wybranego, z którym mrokostwór był związany, ale komukolwiek służył, najwyraźniej ścigał Grefa na dół wieży, najpewniej na taras, z którego Tal rozpoczął swoją wspinaczkę.

Tal zawahał się. Pragnął ocalić Grefa, ale wiedział, że nie może mierzyć się z mrokostworem. Dając się złapać, nie pomógłby ani bratu, ani reszcie rodziny. Tak jak przedtem, jego jedyna szansa leżała powyżej Sfery, wśród chłonących światło kamieni.

Jeszcze raz spojrział w górę. Wcześniej popełnił błąd, zanurzając się w Sferze powoli. Musiał najpierw poszukać punktu zaczepienia dla dłoni, a potem przedrzeć się przez ciemność najszybciej, jak to możliwe.

Tal wstał z rękami uniesionymi nad głową. Jego palce błądziły po zimnych kamieniach, szukając czegoś, w co mogłyby się wczepić. Wreszcie znalazły. Chłopiec kilkakrotnie szybko wciągnął i wypuścił powietrze, po czym wstrzymał oddech i wsunął głowę w kłębiącą się powyżej czerń.

Jeszcze raz znalazł się w całkowitej ciemności, ale tym razem był na to przygotowany. Po omacku wciągnął się na gargulec i nie zwlekając, stanął na nim, wyciągając rękę w poszukiwaniu następnego punktu zaczepienia. Znalazłszy go, podciągnął się jeszcze wyżej.

Wkrótce zaczęło brakować mu powietrza. Ostrożnie wziął niewielki wdech. Pomogło, ale wtedy strach przed uduszeniem ustąpił miejsca przerażeniu, które pochodziło z innego źródła. A jeśli na zawsze zagubił się w Sferze? Może przedarcie się przez nią nie było możliwe od zewnątrz? Może znalazł się w pułapce bez wyjścia?

Zaczął wspinać się szybciej, nie bacząc, że boleśnie rani sobie dłonie i kolana. Kilka razy omsknęła mu się stopa, ale perspektywa upadku nie przerażała go tak bardzo, jak groźba pozostania na zawsze w czarnym wnętrzu Sfery. Musiał wydostać się stąd za wszelką cenę.

Nagle jego otoczenie zmieniło się w dokładne przeciwieństwo ciemności. Tal krzyknął, kiedy palące promienie słońca poraziły mu oczy. Omal nie spadł z powrotem w czerń Sfery, ale patron już owijał się wokół jego głowy, osłaniając mu oczy osobliwą materią swego ciała,

która w razie potrzeby stawała się lekka jak powietrze, płynna jak woda albo mocna jak tkanka istoty z krwi i kości.

Tal przywarł do muru, do połowy skryty w Sferze, czekając, aż ustąpi ból. Na czole czuł dotyk patrona, a na policzkach dziwne ciepło. Gdy przed oczami przestały mu latać czerwone plamy, ostrożnie rozchylił powieki i rozejrzał się wokół. Dokładnie nad sobą dostrzegł spłachetek błękitnego nieba, obcego i nieprzyjaznego w porównaniu z miękką ciemnością panującą pod Sferą. Wokół Tala kłębiły się puszyste szare chmury. Niektóre znikwały w Sferze, niosąc obietnicę śniegu. Dokładnie na środku skrawka błękitu płonęło słońce, tak jasne, że nie sposób było patrzeć nań wprost. Wyglądało groźnie. Promieniowało tak intensywnym blaskiem i gorącem, że Tal czuł się tak, jakby za chwilę sam miał stanąć w płomieniach.

Czerwona Wieża, podobnie jak pozostałe, wznosiła się wyżej, ginąc w powodzi blasku. Tutaj jednak, zamiast gargulców, z murów sterczały długie poziome pręty z brązu, niemal tak grube jak ciało Tala. Na większości z nich wisiały siatki uplecione ze srebrnych włókien.

W siatkach spoczywały helioryty. Tal wiedział, że powstają one z małych kamieni, zbieranych w Aenirze, ale jeszcze nie uczył się o sposobie ich przygotowywania. Zresztą to go nie obchodziło. Nie teraz. Na razie pragnął tylko bezpiecznie wspiąć się wyżej, gdzie, jak wiedział, znajdują się najpotężniejsze kamienie.

Powoli wysunął się ze Sfery, wspiął na kamienny gzyms i przykucnął na nim tak blisko muru, jak to moż-

liwe. Uważnie rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł mrokostworów ani wybranych. Nieco wyżej ze ściany wystawał jednak niewielki balkon. Ktoś mógł tam stać, podobnie jak na tarasie okalającym wieżę tuż pod jej szczytem, sto ramieni powyżej.

- Patronie, patronie, utkaj mi płaszcz czerwony jak wieża - wyszeptał.

Jednocześnie skoncentrował się na swoim heliorycie. Kamyk błysnął czerwienią, a Tal poczuł, że jego patron zaczyna się poruszać. Zza chłopca wychynęła długa i cienka nitka ciemności, która rozciągając się coraz bardziej pomknęła w stronę muru. Kiedy dotknęła kamieni, barwa wieży zaczęła wlewać się w cień, aż cały stał się rdzawo-czerwony. Po chwili patron rozpostarł się na plecach Tała i rozciągnął w dół aż do kostek.

W ciągu kilku sekund patron przeistoczył się w okapturny płaszcz o barwie murów wieży. Tal wiedział, że dopóki będzie się wspinał powoli, zanadto przy tym nie hałasując, pozostanie praktycznie niewidzialny.

Ostrożnie, starannie ważąc każdy ruch, Tal zaczął się wspinać. Brązowe pręty były śliskie i nie dawały tak pewnego oparcia, jak kamienne występy poniżej Sfery, ale były rozstawione bliżej siebie. Tal korzystał z nich jak ze schodów, powoli okrążając wieżę.

Był już prawie przy balkonie, gdy spojrzawszy w górę, ujrzął wielki odrażający łeb, wychylający się zza bariery. Łeb należał do mrokostwora, szpetnego i przerażającego, o wielu oczach i paszczy rozciągającej się na całą szerokość głowy. W paszczy czerniały rzędy drobnych szpiczastych zębów. Był to największy mrokostwór, jakiego Tal

kiedykolwiek widział. Oznaczało to, że był również najpotężniejszy, z pewnością zbyt potężny, by służyć komukolwiek z zakonu purpurytów, najmniej znaczącemu ze wszystkich zakonów.

Tal zamarł, mając nadzieję, że potwór go nie dostrzegł.

Mijały minuty. Niebo zaczęły zasnuwać coraz gęstsze chmury i nagle zrobiło się znacznie ciemniej. W cieniu mrokostwór nie był już tak dobrze widoczny. Tal tkwił w całkowitym bezruchu, ledwie oddychając. Jego serce biło jak oszalałe; słyszał je i był pewien, że bestia także je słyszy.

Potem zaczął padać śnieg. Duże wilgotne płatki spływały z chmur, by dać się porwać wiatrowi, ciskającemu nimi to w jedną, to w drugą stronę. Tal wiedział, czym jest śnieg. Widział go wiele razy przez potrójne szyby okien tarasu widokowego. Jednak nigdy dotąd nie był na zewnątrz zamku. Nigdy nie dotykał śniegu.

Białe, zimne, a po chwili mokry płatek osiadł na nosie chłopca. Tal kichnął.

Mrokostwór przeraźliwie zasyczał i wychylił się za barierę balkonu. Tal wstrzymał oddech, ale to już nie mogło mu pomóc. Potwór zauważył go. Wychylał się coraz bardziej, ukazując swe węzowe ciało, długie i gładkie, układające się w fantazyjne sploty. Przez sekundę Talowi wydawało się, że spadnie, ale nic takiego się nie stało. Szkaradny łeb opuszczał się ku niemu pewnie i powoli, przygważdżając go spojrzeniem swych strasznych oczu - małych kulek, czarniejszych niż reszta utkanej z cieni postaci.

Tal walczył z rozpaczą, jaka ogarniała go na myśl, że teraz już nie uniknie schwytania, postawienia przed lu-

menorem purpurytów i skazania na Salę Koszmarów. Pierzchła ostatnia szansa na zdobycie helioru, a to oznaczało, że Tal przestanie być wybranym i zostanie zesłany do podziemi, gdzie dołączy do niższych i skąd nigdy nie zdoła pomóc swojej matce, Grefowi i Kusi.

Kłopot w tym, że mrokostwór wcale nie zamierzał go chwytać. Łeb potwora nagle wystrzelił do przodu, rozwierając paszczę wystarczająco szeroko, by móc odgryźć głowę chłopca jednym kłapnięciem. Cień patron błyskawicznie pociągnął Tala do tyłu i cios trafił w pustkę. Chłopiec stracił równowagę, ale upadając, instynktownie wyciągnął ręce i zawisł na pręcie, obejmując go ramionami i nogami.

Wisząc głową w dół, Tal patrzył w osłupieniu, jak monstrem cofa łeb, szykując się do zadania kolejnego ciosu. Patron wydał z siebie przenikliwy ostrzegawczy gwizd, jednocześnie powiększając się do rozmiarów chłopca i odpychając swojego pana dalej od wieży. Tal zaczął pełznąć w stronę sieci z klejnotami. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Mrokostwory nie mogły skrzywdzić wybranego!

Bestia zaniósła się strasznym piskliwym chichotem. Tal w jednej chwili otrząsnął się z osłupienia i błyskawicznie wgramolił na pręt, by móc szybciej oddalić się od zagrożenia. Wtedy potwór przemówił, napełniając chłopca jeszcze większym przerażeniem. Mrokostwory mogły mówić, ale prawie nigdy tego nie robiły. Rozmawiały tylko ze swoimi panami i to na osobności.

- Nie szukaj tu skarbów słońca - powiedział mrokostwór głosem przypominającym zgrzyt pazurów sunących

po granitowej skale. - Ja jestem tu Strażnikiem i nie przepuszczę nikogo, kto nie zna Słów.

- Słów? - wymamrotał Tal, pośpiesznie pełznąc po metalowym pręcie.

Nie znał żadnych Słów, a przynajmniej takich, jakie mogłyby pomóc w tej sytuacji. Nigdy też nie słyszał o Strażniku. Za chwilę na balkonie powinien pojawić się właściciel maskary, który ją powstrzyma.

Mrokostwór zsunął się na dół i owinał wokół pręta, po którym sunął Tal. Cień patron stał między chłopcem a poczwara, przybrawszy postać czworonoga o wielkiej zębatej paszczy. Zamierzał bronić swego pana, ale Tal wiedział, że patron jest zbyt mały i słaby, by powstrzymać mrokostwora na dłużej niż kilka sekund.

Tal obejrzał się i znów ogarnęła go fala paniki. Wielki czarny wąż zaskrzeczał i powoli przesunął się o jeszcze jeden ramię do przodu. Najwyraźniej nie spieszył się z dopadnięciem ofiary, choć jego szczęki bezustannie wykonywały posuwiste ruchy, jakby potwór coś przeżuwał.

- Na pomoc! - wrzasnął Tal, łapiąc w usta kilka płatków śniegu.

Nie obchodziło go już, że nadejście kogokolwiek z wybranych oznaczałoby koniec jego wyprawy i koniec marzeń o heliorze. Nie dbał o to, czy będzie tkwił w Sali Koszmarów, czy też natychmiast dołączy do niższych. Wszystko było lepsze od kontaktu ze stworzeniem, które teraz pełzło ku niemu po brązowym pręcie.

- Na pomoc!

- Wieże milczą. Nie ma tu nikogo prócz ciebie i mnie - powiedział mrokostwór.

Potwór wyprężył się, zniecka wyrzucając głowę do przodu. Tal bez namysłu odbił się z całej siły od brązowego pręta, skacząc prosto w rozciągniętą nieopodal sieć. Upadł między grzechoczące kamienie i chciał zerwać się na równe nogi, ale tylko gramolił się bezradnie, nie mogąc utrzymać równowagi na rozchybotanym podłożu.

Kiedy wreszcie wstał, jego stopa przebiła się przez włókna, posyłając w dół deszcz heliorytów. Nie zwracając uwagi na przesypujące się wokół kamienie, Tal pochylił się do przodu i jał z całej siły szarpać uwięzioną nogą.

Wreszcie udało mu się ją uwolnić i dokładnie w tej samej chwili mrokostwór uderzył ponownie. Tal skulił się, wstrzymując dech, ale tym razem to nie on był celem. Paszcza potwora zatrasnęła się na cieniu patronie, wyduszając z niego drżący pisk przerażenia. W jednej chwili patron przestał przypominać kota i zaczął zmieniać kształty tak szybko, że osłupiały Tal nie mógł nadażyć z ich rozpoznawaniem. Był morlyksem, chłopcem, topelem, smokiem z ptasią głową i mnóstwem innych istot dużych i małych, pospolitych i takich, o jakich Tal nawet nie słyszał. Jednak bez względu na przybraną formę nie mógł uwolnić się od miażdżących go szczek i zębów bezlitośnie rozdzierających jego ciało. Wreszcie mrokostwór odrzucił go na bok i patron zawisł na krawędzi sieci jako bezkształtna bryła cienia.

Tal stłumił szloch. Patron towarzyszył mu od najmłodszych lat, zawsze był obok, zawsze gotów nieść pomoc. Chronił go przed wszelkimi kłopotami, błahymi i poważnymi, a teraz w ciągu kilku sekund został unicestwiony.

Chłopiec nie mógł uwierzyć w to, co widział. Mrokostwory nie krzywdziły patronów. Nie mogły też skrzywdzić wybranego. „Chyba że ponad Sferą obowiązują zupełnie inne reguły” - pomyślał nagle.

- Pożywię się cieniem i pożywię się ciałem - oznajmił mrokostwór, gwałtownie cofając głowę i wznosząc ją wysoko nad Talem.

Płatki śniegu zawirowały wokół węzowego ciała niczym opończa z nieważkiej bieli. Potwór rozwarł paszczę, ukazując w całej okazałości kilkanaście rzędów zębów. Tkwiły między nimi skrawki sukna i szczątki, których pochodzenia Tal wolał nie dociekać. W powietrzu rozniósł się obezwładniający odór zgnilizny.

W ułamku sekundy Tal zrozumiał, że poczwara zabiła już wcześniej, a teraz zamierzała zabić jego. Nie miało dla niej znaczenia, że ma przed sobą jednego z wybranych, iluminatora z zakonu oranżystów, być może przyszłego mistrza cieni.

Mrokostwór uderzył. Tal rzucił się w bok i wypadł z sieci.

Spadł na sieć zawieszoną na niższym poziomie. Przez ułamek sekundy myślał, że jest bezpieczny, ale sprężyste włókna ugięły się pod nim, po czym wyrzuciły w powietrze wraz z chmurą heliorytów wysoko w górę i poza krawędź sieci.

Tal patrzył na wirującą nad nim wieżę, chmury, tumany śniegu i helioryty, które spadały wraz z nim. Kolejny podmuch wichury porwał go ze sobą. Wiatr niósł chłopca, śnieg i kamienie coraz dalej i dalej, poza zasięg którejkolwiek z sieci rozpostartych poniżej.

Kiedy przebił się przez Sferę, świat nagle stał się czarny. W zmaconym strachem umyśle chłopca również zapanowała ciemność. Nim stracił przytomność, zdążył jeszcze ujrzeć migocące w oddali światła Zamku.

Zdażył też zadać sobie jedno pytanie.

„Dlaczego chciałem ukraść ten kamień?”

CZĘŚĆ PIERWSZA



Przedtem



Tal zaczął rozglądać się za nowym heliorytem w dniu, w którym zaginał jego ojciec. Osiem dni później owe poszukiwania miały zaprowadzić go na mury Czerwonej Wieży, do sieci z klejnotami, prosto w pułapkę strasznego Strażnika.

Jego życie zmieniło się w ciągu jednego, dla innych najzupełniej zwyczajnego dnia, kiedy to wywołano go z lektorium podczas lekcji i kiedy lektor Roum wypowiedział straszne słowa:

- Twój ojciec zaginał. Naszym zdaniem nie żyje.

Wtedy Tal zdołał powstrzymać się od płaczu, ale już po chwili, gdy biegł przez korytarze Pomarańczowej Wieży do rodzinnych apartamentów, łzy ciurkiem płynęły mu po policzkach. Wycierał je rękawem, ignorując ciekawskie spojrzenia innych wybranych oranżystów i ukradkowe zerknięcia niższych. To, co usłyszał, nie mogło być prawdą.

Tal nie wierzył, że jego ojciec nie żyje. Owszem, zaginał, ale to było coś zupełnie innego. Lektor Roum nie znał żadnych szczegółów. Wiedział tylko, że Rerem nie

powrócił z wyprawy do jaskiń w głębokich podziemiach zamku, dokąd wyruszył na rozkaz Cesarzowej.

„Mógł tam zabłądzić, ale z pewnością znajdzie drogę do domu” - pomyślał Tal, wyobrażając sobie swojego potężnego i odważnego ojca, błąkającego się bezradnie w ciemnościach. Rerem zbyt mocno kochał Tala, jego brata, siostrę i ich matkę, by ich porzucić. Był zbyt silny, by dać się zabić.

Stanąwszy przed drzwiami, ozdobionymi rodzinną pieczęcią - pomarańczowym smokiem Sthilem, skaczącym nad siedmioramienną gwiazdą - Tal zatrzymał się i otarł twarz. Skoro musiał zaopiekować się rodziną, nie mógł pokazać się im jako rozbeczany chłopiec, lecz jako młody wybrany, budzący zaufanie i wystarczająco silny, by móc poradzić sobie z wszelkimi kłopotami. Tego oczekiwał od niego ojciec. Przed swoim odejściem powiedział:

- Tal, ponieważ mnie nie będzie, ty musisz zająć się mamą, Grefem i Kusi. Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Skąd mógł wiedzieć, że nie będzie go tak długo? Skąd mógł wiedzieć, jak wiele te słowa będą znaczyć dla jego syna?

Tal odetchnął głęboko i otworzył drzwi. W sieni sługa należący do niższych odebrał od niego szkolną tokę i pomógł włożyć długą biało-pomarańczową opończę, jaką Tal nosił w domu. Sługa był nowy i do tego niezdarny, ale Tal ledwie zwrócił na to uwagę.

Niższych przydzielał rodzinom zastępca lumenora oranżystów. Od czasu, gdy ojciec Tala odszedł, by wziąć udział w tajemniczej wyprawie, z jakiegoś powodu służący byli bezustannie wymieniani na coraz mniej doświadczonych i coraz bardziej niedbałych.

Matka Tala, Grala, nie ruszała się od kilku miesięcy - przykuta do łóżka, porażona wyniszczającą chorobą, skutecznie opierającą się zarówno magii jak i medycynie wybranych. Ulgę przynosiło jej jedynie światło i ciepło, dlatego łóżko przeniesiono do heliorium, którego ściany i sufit wyłożone były małymi heliorytami. Było tu zawsze jasno i bardzo ciepło. Dodatkowo pokój wyposażono we własny przewód parowy, dostarczający gorące i wilgotne powietrze prosto z kotłów grzewczych w zamkowych podziemiach.

Tal postanowił od razu pójść do mamy. Przemaszerował przez pokój gościnny tak szybko, że czekające tam trzy osoby nie zdążyły wstać i powitać go. Co gorsza on sam zapomniał skłonić się przed starszymi i rytualnie ofiarować im światło swojego heliorytu.

Tal wiedział, że goście poskarżą się na niego. W przedpokoju czekały Lalla i Korra, kuzynki jego matki. Narzekanie na Tala należało do ich ulubionych zajęć. Trzeciej osoby nie znał. Był to mężczyzna, odziany w togę ozdobioną szerokimi pomarańczowymi pasami. Opasująca jego szyję kryza z luster i heliorytów świadczyła o wysokiej randze w hierarchii zakonu.

Mrokostwory trojga gości były szybsze od ich panów. Podniosły się z podłogi natychmiast, gdy Tal wszedł do pokoju. Cienie kuzynek miały kształt drecza, dość pospolitego mieszkańca Aeniru. Oba wyglądały jak wysokie na siedem stóp groteskowo chude skrzyżowanie patyczaka z pajakiem, wyposażone w osiem odnóży i wyłupiaste oczy. Tal pomyślał, że są tylko odrobinę bardziej odrażające niż Lalla i Korra.

Tal nie zdołał rozpoznać mrokostwora trzeciego gościa. Wydawał się niski i szeroki, dopóki nie zerwał się z podłogi. W ciągu kilku chwil Tal kątem oka dostrzegł sylwetkę czegoś, co musiało pochylić się pod dziewięciostopowym sufitem, miało jajowaty kształt, cztery łapy, ogon i jaszczurczy łeb.

Wszystkie te spostrzeżenia wywietrzały Talowi z głowy, gdy tylko przekroczył próg heliorium. Tak jak się spodziewał, była tam jego matka. Leżała w łóżku razem z trzyletnią Kusi i dziewięcioletnim Grefem, mocno tuląc ich do siebie. Widać było, że wszyscy troje niedawno płakali. Talowi zachciało się nagle także wpełznąć pod kołdrę, by u boku matki poszukać chwili ukojenia.

Mrokostwór Grali był pod łóżkiem; wystawała stamtąd tylko jego okrągła, dziwnie niewyraźna głowa. Duch-cień zanikał w miarę słabnięcia Grali. Kiedyś był potężny i miał kształt olbrzymiej sowy z wielkimi krzaczystymi brwiami. Był też jednym z nielicznych mrokostworów w Zamku, które mogły opuszczać swojego pana i oddalać się na dużą odległość. Teraz wyglądał raczej jak nadtopiony woskowy posąg sowy. Jego zbudowane z ciemności ciało zatraciło wyrazistość konturów i było niemal przezryste, nawet w rozświetlonym heliorium.

Grala wyglądała żałośnie. Schudła tak bardzo, że trudno ją było rozpoznać. Jej skóra była szara i pokrywały ją kropelki potu.

Tal spojrzął na Gralę i poczuł, że zbiera mu się na płacz. Nie mógł znieść myśli, że ojciec nie wrócił, a matka jest bliska śmierci. Nawet helioryt, zawieszony na jej

piersi, zaczynał ciemnieć. Nie błysnął, kiedy Tal uniósł swój kamień w zwyczajowym geście powitania.

- Pozdrawiam cię, matko - powiedział, a jego helioryt rozjarzył się, oświetlając Grałę należnym jej światłem.

Grała uśmiechnęła się, ale nie zdołała uwolnić ramion, by unieść swój kamień.

- Tal... - powiedziała tak cicho, że chłopiec musiał podejść bliżej i uklęknąć przy łóżku, by cokolwiek usłyszeć.

- Tal...

- Mówią... - zaczął Tal łamiącym się głosem. - Powiedzieli mi, że tata nie wróci.

Gref i Kusi spojrzeli na starszego brata i wybuchnęli płaczem.

- Cicho, dzieci - uspokoiła ich Grała. - To prawda, że wasz ojciec nie wrócił, ale to nie znaczy, że straciliśmy go na zawsze. Na pewno wróci do nas... kiedyś. Tymczasem wszyscy musimy być dzielni. Czy będziecie dzielni dla mnie i dla waszego ojca?

- Tak - odrzekł Tal, połykając łzy.

Gref i Kusi skwapliwie pokiwali głowami, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

- Muszę porozmawiać z Talem - powiedziała Grała. - Gref, zabierz Kusi do Hudren. Dostaniecie ciasto i opiwek.

Hudren była jedyną służącą, którą rodzinie Tala wciąż udawało się utrzymać przy sobie. Kiedyś była nianią Grefa, a teraz opiekowała się Kusi.

- Chcę zostać - oświadczył Gref. - Mam prawie tyle lat co Tal.

- Wcale nie! - zaprotestował Tal. Był o prawie pięć lat starszy. - Nie umiesz liczyć?!

- Gref, idź ze swoją siostrą - powiedziała łagodnie Grała, a jej mrokostwór wyciągnął spod łóżka szponiastą łapę i wskazał nią drzwi, podkreślając nieodwołalność polecenia.

Gref spojrział gniewnie na brata, ale posłusznie wyszedł.

- Usiądź przy mnie - powiedziała Grała. - Tal, wierzę, że twój ojciec pewnego dnia powróci, ale musimy zastanowić się, co zrobimy, jeśli nie wróci przed Dniem Wstąpienia.

Tal zamarł. Był tak przejęty złymi wieściami i losem matki, że w ogóle nie pomyślał o sobie. Za dwa miesiące miał skończyć trzynaście lat i dziewięć miesięcy. Niedługo później, w Dniu Wstąpienia, wszyscy wybrani mieli wkroczyć do Aeniru. Ponieważ Tal będzie już wówczas w odpowiednim wieku, jego patron odzyska wolność, a on sam będzie musiał odszukać istotę z Aeniru i związać ją ze sobą jako mrokostwora.

Tal przygotowywał się do owego dnia, odkąd pamiętał. Była to jego szansa na zdobycie potężnego mrokostwora, a zarazem na popisanie się swoją siłą woli i umiejętnością panowania nad światłem. W głębi duszy wiedział, że ma wrodzony talent i że ojciec dobrze go wyćwiczył. Z pewnością wróciliby z wspaniałym i potężnym mrokostworem. Przy jego pomocy pewnego dnia awansowałyby z oranżystów do szafranitów, albo nawet błękitników. Rodzice Tala zdołali wznieść rodzinę o dwa stopnie w hierarchii zakonu. Tal zamierzał dopilnować, by jego dzieci startowały z jeszcze wyższej pozycji.

Tyle że Tal nie mógł wkroczyć do Aeniru bez helioru. Dotąd nigdy się tym nie kłopotał, ponieważ jego oj-

ciec miał taki klejnot i posługując się nim, umożliwił całej rodzinie wejście do świata duchów. Teraz jednak Rerem zaginał, a wraz z nim rodzinny kamień. Chyba że matka...

- Nie masz heliom? - spytał Tal, desperacko chwytając się nadziei, że kamienia ojca używali po prostu dla wygody. Większość heliorytów dorosłych wybranych było heliorami, wystarczająco potężnymi, by umożliwić swoim właścicielom wejście do Aeniru.

Grała powoli uniosła wychudzoną rękę do piersi i ujęła klejnot zawieszony na jej szyi na srebrnym łańcuszku. Pod jej dotykiem kamień rozbłysnął na chwilę wątłą poświatą.

- Kiedyś ten był heliorem - wyszeptała. - Teraz jednak będzie mi potrzebna pomoc. Grefowi i Kusi także. Wiesz, co się stanie, jeśli nie zdołamy wejść do Aeniru.

Tal ponuro skinął głową. Jeśli nie zdołałby wkroczyć do Aeniru, zostałyby odseparowany od rodziny i zdegradowany nie tylko do niższego zakonu purpurytów, ale na zawsze wykluczony z grona wybranych. Dołączyłby do niższych i został sługą do końca swych dni.

Co gorsza, oznaczałoby to utratę ostatniej szansy na uzdrowienie jego matki. Świat duchów był domem magii, cudów, a także istot posiadających mądrość i moc. Tam Grała mogła zostać uzdrowiona, ocaliłaby życie, jeśli oczywiście dożyłaby Dnia Wstąpienia. Przed owym dniem nie wolno było odwiedzać Aeniru.

- Zatem będę musiał zdobyć nowy helior - powiedział Tal. Głos mu drżał, mimo pobrzmiwającej w nim determinacji. - Dla całej rodziny.

Grala kiwnęła głową i uściśnęła dłoń syna. Jej dotyk był delikatniejszy niż powiew wiatru. Tal patrzył, jak jego matka zamyka oczy i powoli odpływa w sen.

- Zdobędę ten kamień - powtórzył cicho. - Cudem, ale go zdobędę.



ROZDZIAŁ DRUGI

Tal jeszcze długo siedział u boku matki, zastanawiając się, w jaki sposób mógłby zdobyć nowy potężny helior. Wymyślił tylko trzy rozwiązania, a każde wiązało się z ryzykiem.

Pierwszym sposobem było poproszenie o kamień Lallę i Korrę. Stały wyżej w hierarchii zakonu i jak głosiła plotka, niebawem miały zostać promowane do szafrantów. Obie nosiły po kilka heliorytów wprawionych w srebrne diademy, w pierścienie błyskające na ich palcach, a nawet w klamerki zawsze starannie wypolerowanych butów. Tal zawsze twierdził, że musiały zdobyć je drogą hazardu. Rzadko widywał Lallę i Korrę zajęte czymś innym niż grą.

Jednak hojność, oględnie rzecz biorąc, nie była tym, z czego Lalla i Korra słynęły najbardziej. Tal wyczuwał również, że on sam budzi w nich szczególną niechęć. Nie pojmował jej przyczyn, choć kiedy był młodszy, zdarzyło mu się zrzucić na głowy kuzynek wiadro z popiołem, niszcząc ich piękne stroje tuż przed rodzinnym obiadem. To był tylko dziecięcy dowcip, ale Lalla i Korra najwyraź-

niej na zawsze zachowały urazę. Oczywiście w wiadrze był nie tylko popiół.

Mimo to - tłumaczył sobie Tal - należały przecież do rodziny. Były tuż obok, w pokoju gościnnym, choć zapewne przyszły wyłącznie dlatego, że po ogłoszeniu wieści o zaginięciu Rerema po prostu nie wypadało nie odwiedzić Grali.

Tal westchnął. Patron, wyczuwając jego nastrój, przestoczył się z dwugłowego korwila w niemal normalny cień. Potem zatrząsł się i wykonując ruch wymiotującego człowieka, znów przybrał podługowaty koci kształt korwila, lecz tym razem z tylko jedną głową. Ten mały popis rozśmieszył Tala. Nawet jego cień nie lubił Lalli i Korry.

Tal wstał, otworzył drzwi komnaty i tym razem zatrzymał się tuż za progiem, by pochylić się przed starszymi w stosownym ukłonie. Uniósł swój helioryt i rzekł:

- Pozdrawiam was, Korra, Lalla i...

- Mistrz cieni Sushin - powiedział nieznajomy, nie dbale ujmując własny helioryt i wysyłając oślepiający promień prosto w twarz chłopca.

Korra i Lalla zrobiły to samo. Tal odruchowo zasłonił oczy rękawem.

Błask wciąż przybierał na intensywności. Na uniesionym ramieniu chłopiec poczuł nieprzyjemne gorąco. Jego patron wydał z siebie przeciągły gwizd, ale cichy, by tylko jego pan mógł go usłyszeć. Tal poczuł narastający w nim gniew, równie gorący i oślepiający jak światło. Jego kuzynki i ten nieznany mistrz cieni - tytuł oznaczający, że poza piastowaniem swojej godności w zakonie oranżystów mężczyzna bezpośrednio służy Cesarzowej - nigdy

nie ośmieliliby się traktować go w ten sposób, gdyby obok była matka lub ojciec.

Światło zgasło i Tal opuścił rękę, wciąż trzęsąc się z gniewu. Goście nie kwapili się, by wstać, ale ich mroko-stwory wysunęły się do przodu i stanęły niepokojąco blisko Tala. Cień mistrza, uświadomił sobie chłopiec, miał kształt podwodnej muszlicy. Jego tułów chroniła płaska muszla lub skorupa.

- Mistrz cieni nie był zachwycony twoją arogancją - powiedziała Lalla. - Nawet w takich okolicznościach nikomu nie wolno zapominać o dobrym wychowaniu.

- Błagam o wybaczenie, mistrzu - odrzekł Tal, powoli cedząc słowa. - Niech w twoich oczach nic już nie przyćmi mego światła.

Mistrz cieni chrząknął. Tal pomyślał, że gość przypomina świnie. Jego blada napęczniała twarz, jakby stworzona do koryta, nieodparcie kojarzyła się z prosiętami hodowanymi przez niższych w podziemnych jaskiniach.

- Trzy deluminaty - powiedział mistrz cieni, wydobywając z rękawa cztery przezroczyste bransolety i ciskając je w stronę chłopca.

Kółka potoczyły się z brzękiem po podłodze. Tal był zbyt oszołomiony, by złapać je w locie. Bez słowa ukląkł i zaczął powoli zbierać bransolety, wsuwając jedną po drugiej na nadgarstek. Deluminaty były rodzajem kary, widocznym świadectwem popełnionego wykroczenia. Piętnowano nimi tych, którzy wystąpili przeciw zakonowi lub Cesarzowej. Pozwolenia na ich zdjęcie mógł udzielić tylko ktoś starszy rangą od osoby, która wymierzyła karę. Gdyby Tal zebrał siedem deluminat, zostałyby zde-

gradowany do purpurytów. Siedem następnych i dołączyły do niższych bez względu na to, czy przeszedł już inicjację w Dniu Wstąpienia, czy nie.

Tal wsunął dłoń w trzecią bransoletę i wyprostował się. Trzy deluminaty były absurdalnie surową karą za niedopełnienie obowiązku powitania, ale mistrz rzucił mu cztery!

- Tu są cztery deluminaty, mistrzu - powiedział cicho, czując, że twarz płonie mu rumieńcem upokorzenia. Nigdy dotąd nie otrzymał więcej niż jedną.

- Trzy, cztery, co za różnica? - odburknęła świńska głowa. - Załóż je, Tal. To cię nauczy szacunku dla starszych.

Chłopiec z ociąganiem sięgnął po czwartą deluminatę i wsunął ją na nadgarstek. Bransolety sporządzono z kryształu. Kiedy Tal wstał, odezwały się cichym dzwonieniem.

- Czym mogę służyć mym dostojnym gościom? - zapytał Tal, dopełniając rytuału, choć miał szczerą ochotę chwycić dzban mrożonego opiwku i rzucić go prosto w twarze dostojnych gości.

- Jestem Sushin, mistrz cieni, nadworny spektrolog, najjaśniejszy zakonu oranżystów - przedstawił się grubas. - Przybyłem, by w imieniu Cesarzowej wyrazić ubolewanie z powodu śmierci twojego ojca.

„On nie umarł!” - chciał zawołać Tal, ale nie ośmielił się wyrazić sprzeciwu na głos. Ten mistrz cieni tylko czekał na jakieś uchybienie, na najdrobniejszy przejaw braku szacunku, jaki dalby mu okazję do wymierzenia kolejnej kary. Już nawet wsunął dłoń do rękawa, już

pobrzękiwał ukrytymi tam deluminatami, niecierpliwie czekając na wynik wewnętrznej walki Tala.

- Jesteśmy wdzięczni Cesarzowej - wymamrotał Tal.

Nie bardzo pojmował, co się dzieje. Czemu ten mistrz jest tak wrogo nastawiony? Tal spodziewał się, że to raczej kuzynki będą tryskać jadem. Przecież ten człowiek nawet go nie znał. Przyszedł tu w imieniu Cesarzowej.

- No to załatwione - stęknął Sushin, poprawiając się na krześle.

Przestał bawić się bransoletami tylko po to, by z przepastnej kieszeni wydobyć garść suszonych krewetek i wepchnąć je sobie do ust.

- Możesz wrócić do lektorium, chłopcze - wybełkotał, plując wokół okruciami. - Nie powinieneś przerywać nauki.

Tal poczuł mdłości na widok zaślinionego zleпка różowych krewetek, które z mlaskaniem żuł Sushin. Ten człowiek rzeczywiście był świnią... świnią i łajdakiem.

Krewetki były ulubionym przysmakiem Grali, trudnym do zdobycia rarytasem. Ludzie Dołu od czasu do czasu łowili je w podziemnych strumieniach. Tal od miesięcy próbował wystarać się o nie dla swojej matki, niestety bez skutku.

- Chciałbym zadać pytanie kuzynkom mojej mamy, jeśli wolno - powiedział, ostrożnie ważąc każde słowo.

Mimo gniewu, jaki czuł na myśl o tym, że we własnym domu nie wolno mu odezwać się bez pozwolenia, nie miał wyboru.

- Pytaj - rzucił Sushin, pakując w usta kolejną porcję krewetek i popijając je opiwkiem.

Tal patrzył z obrzydzeniem na dwie strużki słodkiego napoju, które pociekły z kącików ust mistrza i popłynęły wzdłuż bruzd, utworzonych przez obwisłe fałdy policzków.

- Niech opromienia cię blask, mistrzu cieni - powiedział wreszcie, zginając się w ukłonie, po czym zwrócił się w stronę kuzynek matki.

Lalla i Korra uśmiechały się nieprzyjemnie. Zdawały się na coś czekać. Ich mrokostwory podrygiwały przed Talem, niemal tańczyły, tak że musiał bez przerwy poruszać głową, by widzieć obie kobiety.

- Mama jest chora - zaczął - a jeśli tata nie wróci na czas, w Dniu Wstąpienia nie będziemy mogli wkroczyć do Aeniru. Proszę was o pomoc, bo jesteście bliskimi kuzynkami mojej mamy. Ofiarujcie nam helioryt o wystarczającej mocy, helior.

Lalla i Korra spojrzały na siebie i uśmiechnęły się szerzej. Potem obie spojrzały na Sushina - on również się uśmiechał. Uśmiechali się wszyscy z wyjątkiem Tala.

Pierwsza odezwała się Lalla.

- Och, niestety - zawołała z udawanym żalem, gładząc palcami olbrzymie świecące klejnoty, tkwiące w pierścieniach na jej kciuku i palcu wskazującym - nie mamy żadnego na zbyciu.

- Jak szkoda... - dodała Korra, delikatnie muskając swój naszyjnik, ozdobiony czterema heliorytami, dwukrotnie większymi od kamienia Tala. Obłudny uśmieszek nie zniknął z jej twarzy. - Jestem pewna, że jakoś sobie poradzisz... Tak mi przykro, że twój ojciec nie żyje.

Tal patrzył na nie dygocąc z wściekłości. Ledwie zwrócił uwagę na swojego patrona, który tymczasem objął go za kolana, powstrzymując przed rzuceniem się do bójk. Chłopiec zacisnął dłoń na swoim heliorycie. Jakże pragnął cisnąć w obłudne twarze pęk świetlnych promieni albo obsypać je palącymi iskrami, albo użyć jakiegokolwiek innego rodzaju magii bojowej, jakiej dopiero zaczął się uczyć w lektorium.

Sushin rozładował napięcie, wysypując do ust ostatnią porcję krewetek i podnosząc się z krzesła. Lalla i Korra pośpiesznie poderwały się także. Zgodnie z obyczajem wszyscy troje powinni byli złożyć Talowi ukłon, jako że przebywali w jego domu, ale nie uczynili tego. Sushin bez słowa wymaszerował z pokoju, a za nim podreptały dwie kobiety, nie zaszczyciwszy chłopca nawet spojrzeniem. Za to mrokostwory obserwowały go uważnie, powoli wycofując się w stronę drzwi. Wyczuwały, nawet jeśli nie wyczuwali tego ich właściciele, że jeszcze chwila, a Tal rzuci się do jakiegoś szaleńczego ataku.

Kiedy sługa zamknął drzwi za gośćmi, patron puścił nogi swojego pana. Tal czekał, aż uspokoi mu się oddech. Po chwili znów mógł jasno myśleć.

Pierwsza próba zdobycia pierwotnego oka słońca skończyła się sromotną porażką. Talowi nie pozostało nic innego, jak wypróbowanie drugiej metody. Musiał też dowiedzieć się, dlaczego mistrz cieni Sushin pragnął jego zguby.

- Jeszcze zobaczycie - wysyczał, wygrażając pięścią zamkniętym drzwiom. Deluminaty zabrzęczały złowrogo. - Jeszcze zobaczycie... Zdobędę oko słońca, bez względu na wszystko.

Cień patron także uniósł rękę i potrząsnął nią w niemym proteście. Tak się w tym zapamiętał, że nie zauważył, kiedy jego pan odszedł. Spostrzegłszy, że jest sam, pognał za Talem i razem poszli sprawdzić, jak Gref i Kusci znoszą straszną nowinę.



ROZDZIAŁ TRZECI

T

al mógł wcielić w życie swój drugi plan nie wcześniej niż za siedem dni, kiedy to miał wziąć udział w Igrzyskach Iluminacji. Tymczasem ze wszystkich sił starał się być wzorowym uczniem. Kiedy tylko przychodził mu do głowy pomysł na nowy dowcip, albo kiedy czuł się znudzony monotonną gadaniną młodszego lektora, rozwodzącego się nad naturą rekursywnego światła i przekształceniami widma, delikatne dzwonienie deluminat na nadgarstku przywodziło go do porządku.

To był wyjątkowo ciężki tydzień. Po każdej kolacji Kusi domagała się, by tata położył ją do łóżka. Płakała, że nie przychodzi, a była zbyt mała, by zrozumieć, że to nie dlatego, że nie chce. Grała była zbyt osłabiona, by wstać z łóżka, więc obowiązek utulenia dziewczynki do snu i opowiedzenia jej bajki spadał na Tala. Potem musiał jeszcze zapędzać do łóżka Grefa.

Wszystko to bezustannie przypominało mu o nieobecności ojca. W nocy Tal leżał na wznak, wsłuchując się w ciszę i mając nadzieję, że za chwilę rozlegną się kroki, otworzą drzwi i znajomy głos spyta, czy w domu wszystko

w porządku. Niestety, o wiele bardziej prawdopodobne było, że usłyszy Grefa, szepczącego coś w rodzaju:

- Tal, mam pomysł. Wślizgnę się do domu Lalli i zwinę jej helioryt.

Albo:

- Tal, założę się, że potrafiłbym zarzucić Korrze płachtę na głowę i ściągnąć jej bransoletkę tak, że nie będzie wiedziała, kto to zrobił.

Albo najczęściej powtarzane pytanie:

- Tal, dlaczego nie chcesz, żebym pomógł ci zdobyć nowy helioryt?

Na swój własny sposób Kusi była równie męcząca. Tal musiał jej czytać bajki i co wieczór układać do snu. Leżała w łóżeczku, patrząc na brata swoimi błękitnymi, pełnymi łez oczami, i skarżyła się cicho:

- Nie chcę Tala. Chcę do mamy.

Jakby tego było mało, mistrz Sushin najwyraźniej szepnęła tu i ówdzie właściwe słówko. Starsi wybrani, których Tal nigdy przedtem nie widział, starali się zachodzić mu drogę, by później obwiniać go za kolizję. Obce mrokostwory włączyły się za nim tak często, że przestał korzystać z węższych korytarzy i schodów. Zaczął nawet unikać najlepszego skrótu w zamku: zsypu na pranie, spiralnej rynny, wiodącej od najwyższych komnat zakonu fioletynów aż do purpurytów i dalej do pralni w podziemiach, gdzie pracowali niżsi.

Tal nie chciał spotkać mrokostwora w zsypie pralni. W żadnym innym miejscu w zamku nie można było się znaleźć tak blisko prawdziwej ciemności. Wewnątrz nie było heliorytów. Światło sączyło się jedynie przez szcze-

liny klap na każdym z czterdziestu dziewięciu poziomów. Te wątle linie blasku były też jedynymi punktami odniesienia, dzięki którym zjeżdżający wiedzieli, gdzie są, i mogli w odpowiednim miejscu rozsunać stopy i zahamować, zazwyczaj płacąc za jazdę przypalonymi podszwami butów.

Tal trzymał się głównych schodów i Bezbarwnych Korytarzy: szerokich pasaży, nie należących do żadnego z zakonów.

W lektorium uczono dzieci, że całe światło służy Cesarzowej, a wszystkie zakony są niczym rodzina. Tal zdążył się już przekonać, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Wybrani z niższych zakonów odnosili się z niechęcią do starszych rangą i zazdrościli im, a ci z upodobaniem wysługiwali się młodszymi. Najgorsze były dzieci. Jeśli zdybały Tala, przekradającego się chyłkiem przez korytarz, rzucały się nań hurmą, by oślepić go blaskiem swoich heliorytów. Zdarzało się, że po takiej przygodzie mijało kilka dni, nim całkowicie odzyskał wzrok.

Tal starał się unikać kłopotów. Było to tym trudniejsze, że jednocześnie musiał zajmować się młodszym bratem. Gref uczył się w innym lektorium i jak dotąd na nic się nie skarżył. Mimo wszystko Tal wolał mieć na niego oko.

Kłopoty były specjalnością Grefa. Był niezrównany w ich stwarzaniu i unikaniu odpowiedzialności. Jednak nawet wyłganie się osiem razy na dziesięć kłopotliwych sytuacji oznaczało dwukrotną wpadkę.

Geniusz Grefa nie służył mu dobrze, gdy on sam stawał się celem szykan. Tal mniej obawiał się tego, co mogłoby się przydarzyć bratu, niż tego, co Gref mógłby

przedsięwziąć w rewanżu. Dobrze pamiętał historię chłopca, który narysował karykaturę Grefa, nadając mu wygląd dwugłowego topeta. Gref nie skarżył się. Odczekał siedem miesięcy, ani razu nie wracając do tej sprawy, po czym zapłacił starszemu uczniowi za sporządzenie świetlnej marionetki, przedstawiającej go jako naprawdę straszego topeta. Pewnej nocy zdołał umieścić ją w pokoju swojej ofiary. Chłopiec obudził się z wrzaskiem, który usłyszano we wszystkich siedmiu wieżach. Nieszczęśnik jeszcze długo nie mógł oglądać przedstawień świetlnych marionetek, nie wpadając w nerwowy dygot.

Gref niedługo cieszył się chwałą zwycięzcy. Przełożeni nie mieli wątpliwości, skąd wzięła się marionetka z jego twarzy. Tala najbardziej zaniepokoił fakt, że już po odbyciu kary Gref oświadczył, że było warto i że zrobiłby to ponownie (na szczęście był zbyt młody, by otrzymywać deluminaty).

Wszystkie te kłopoty były dla Tala niewyczerpanym źródłem trosk, ale nic nie martwiło go bardziej niż przedłużająca się nieobecność ojca. Gdyby się pojawił, wszystko wróciłoby do normy. Z każdym dniem obawa, że Rerem może naprawdę nie żyje, nękała chłopca coraz bardziej.

Musiał się bardziej postarać, by zdobyć upragniony helioryt. Gdyby tylko te wstrętne Lalla i Korra podarowały mu jeden, nie musiałyby przystępować do Igrzysk Iluminacji.

Igrzyska odbywały się co kwartał i teoretycznie były otwarte dla każdego, kto chciał zaprezentować swoje talenty. Mimo to rzadko przystępowali do nich wybrani, którzy, tak jak Tal, mieli tylko patrona. Konkursy rozgrywano w kilku kategoriach, w różnych częściach zamku. Choć każda kategoria wymagała talentu w innej dziedzi-

nie, wszystkie były sprawdzianem wyczucia światła i biegłości w posługiwaniu się heliorytem.

Tal wpisał się na listę turnieju ciała. Konkurencja polegała na pokonaniu toru przeszkód, gdzie zwykła krzepa i zręczność były równie ważne, jak umiejętność panowania nad światłem. Turniej rozgrywano w Sali Zwierciadeł, co stanowiło dodatkowe utrudnienie. Tutaj światło należało prowadzić z największą precyzją. Najdrobniejszy błąd oznaczał utonięcie w tysiącach dezorientujących odbić.

Tal przygotowywał się przez cały tydzień, przychodząc na tor każdego popołudnia zaraz po zajęciach w lektorium. Było tam siedem przeszkód, które należało pokonać w określony sposób: skacząc, wspinając się, pełznąc lub lawirując między jej elementami. Starożytne przeszkody sporządzono z litego światła - była to magia już dawno zapomniana przez wybranych, choć niektórzy podejrzewali, że Cesarzowa może znać część tajemnicy. Uczestnicy mogli przemieniać przeszkody w coś innego, kierując promień świetlny o określonej barwie w odpowiedni punkt. Tajemnicą powodzenia w turnieju ciała było zmienianie przeszkód przed sobą w coś łatwego do pokonania, na przykład w Ziejącą Jamę, którą można było po prostu przeskoczyć. Jednocześnie należało utrudniać zadanie rywalom, stawiając na ich drodze trudniejsze zapory, takie jak Mur Niespodzianka.

Bywało, że przeszkody zmieniały postać kilka razy na sekundę wśród strzelających zewsząd pęków różnokolorowych promieni. Nader często Ziejąca Jama zamieniała się w Mur Niespodziankę akurat wtedy, gdy zawodnik dawał susa, co zawsze kończyło się nieprzyjemną kolizją.

Ten aspekt zawodów nie niepokoił Tala. Ostatecznie wyrznięcie głową w Mur Niespodziankę albo pobłędzenie w Tunelu Zagadek nie było takie straszne. Naraziłby się najwyżej na śmiech publiczności. Jednak zlekceważenie którejkolwiek z Reguł Światła skończyłoby się otrzymaniem następnym deluminat, na co Tal nie mógł sobie pozwolić.

- Nie dojdzie do tego - wymamrotał do siebie po kolejnym wyczerpującym treningu. Zwycięzca turnieju przeważnie awansował o kilka stopni w hierarchii swojego zakonu, albo zezwalano mu na poproszenie o inną nagrodę - na przykład o helioryt.

Tal zamierzał wygrać. Zawsze był świetny w konkursach próbnym, w jakich brały udział wszystkie dzieci. Treningi również przebiegały znakomicie. Cóż mogło pójść źle?

Rankiem w dniu Igrzysk Tał dowiedział się, co mogło pójść źle. Podniecony przyszedł do Sali Zwierciadeł o dobrą godzinę wcześniej, tylko po to, by odkryć, że jego imienia nie ma na liście zawodników. Nie było go też na liście na następny turniej, ani na następnej.

- Przecież wpisałem się! - upierał się Tal. - Dobrze pamiętam. Wpisałem się do rejestru tydzień temu!

Półjasny który opiekował się konkursowymi listami, obojętnie wzruszył ramionami. Był jednym z najmniej znaczących purpurytów; w hierarchii stał wyżej niż ciemny, ale i tak niewiele ponad niższym, co było przyczyną, dla której zaprzęgnięto go do obecnej pracy. Większość wyższych rangą wybranych nigdy nie zniżała się do pełnienia tak przyziemnych funkcji, woląc poświęcać swój cenny czas na własne zainteresowania lub zdobywanie

awansów poprzez konkursy i polityczne rozgrywki na dworze Cesarzowej.

- Nie ma cię tutaj - powiedział półjasny podsuwając Talowi pod nos wielką oprawną w skórę księgę. - Może przez pomyłkę zapisałeś się na inny turniej?

- Wykluczone - odparł Tal. Patron potrząsnął głową w ślad za swym panem.

- Lepiej sprawdź w rejestrze - doradził znudzonym głosem półjasny. Jego cień patron był tak samo nieciekawym jak on: bliżej nieokreślone sześciorogie zwierzę, które spało owinięte wokół jego kostek.

Tal kiwnął głową i puścił się biegiem do wyjścia z sali. Za sobą usłyszał jeszcze pomruk, coś w rodzaju: „pomażańczy idiota”, ale nie odwrócił się. Dobrze pamiętał, do jakiego turnieju się zapisał. Nie mógł się pomylić.

Chyba że rzeczywiście pomylił kategorie. A co, jeśli zapisał się na turniej walki albo uzdrawiania? Nie był przygotowany do żadnej innej konkurencji. Publiczność z pewnością uraczyłaby go Białym Promieniem Niesmaku, a ręce obwieszono by mu deluminatami. Zostałby niższym, jego matka umarłaby, a Gref i Kusi dołączyliby do niego w ciemnych podziemiach dla służby.

- Nie wolno mi wpadać w panikę - powtarzał sobie Tal.

Przestał biec. Skłonił się ostrożnie i ofiarował światło przechodzącemu brylantowemu z fioletynów. Miał jeszcze pół godziny.

- Nie wolno mi wpadać w panikę - powtórzył Tal i uspokoiwszy oddech pomaszerował w stronę sali rejestracji.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Tal był turniej muzyki. Tal wpatrywał się w rejestr, nie mógł i mogąc uwierzyć, że widzi tam swoje imię. Było tam jednak, razem z jego rodową pieczęcią wytrawioną w świetle.

Nie wierzył, że mógł popełnić taką pomyłkę... ale najwyraźniej popełnił ją.

Turniej muzyki! Zaraz po walce i uzdrawianiu była to zapewne najgorsza kategoria. Tal nie miał nawet kompozycji, którą mógłby wykonać. Nie mógł się też wycofać - było to zabronione, chyba że zawodnik był chory lub ranny. Przez chwilę Tal rozważał pomysł rzucenia się w dół ze stromych schodów. Złamana ręka lub noga wykluczyłaby go z konkursu. Ale co dalej? Potem przez dłuższy czas nie mógłby wystartować w żadnej innej kategorii.

Tal zerknął na swój helioryt, odczytując czas z położenia barwnych pasm. Za niespełna dwadzieścia minut miał zaprezentować przed wybranymi oryginalną kompozycję światła i dźwięku.

To było niemożliwe. Podobnie jak wszyscy wybrani, Tal był dobrze wyszkolonym muzykiem, tyle że nigdy nie

wyróżniał się wybitnym talentem i oczywiście teraz nie miał czasu na napisanie nowego utworu. Jediną szansą było wykorzystanie istniejącego. Musiałoby to być coś, czego nigdy nie grano publicznie, albo coś tak starego, że nikt nie byłby w stanie go rozpoznać.

- Stary... - powtórzył w zadumie Tal i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Cień patron najwyraźniej pochwyił jego myśl, bo przemienił się z pewnego wyjątkowo szpetnego gatunku ryby dwudysznej w przygarbionego człowieka znacznie wyższego od Tala i wyposażonego w olbrzymi nos. Tal rozpoznał karykaturę. Dziadek stryjeczny Ebbitt!

Ebbitt mógł mu pomóc. Tal puścił się biegiem przez korytarze, zapominając o ostrożności i korzystając ze wszystkich skrótów, jakie znał. Dwie minuty później zjeżdżał już ciemnym szybem pralni. Tuż przed nim sunął wielki worek z ubraniami. Tal wypatrywał włazów i głośno liczył poziomy.

- Oranżyści trzy, dwa, jeden, purpuryci sześć, pięć, cztery, trzy...

Brzmienie własnego głosu dodawało mu otuchy. Przy „purpuryci dwa” docisnął pięty do ścianek rynny i natychmiast poczuł gorąco przenikające przez podeszwy butów.

Ebbitt mieszkał na pierwszym poziomie, najniższym zamieszkanym przez wybranych. Poniżej były już tylko jaskinie niższych. Tal nigdy tam nie był. Wiedział, że w podziemiach panował mrok. Było tam tylko tyle heliorytów, ile trzeba, by wytworzyć wątlą szarawą poświatę i umożliwić sługom pracę. Podobno też zawsze było tam

parno za sprawą wielkich kotłów dostarczających Zamkowi ciepła. Pod kotłami biegły tunele wypełnione wrzącą lawą. Kolektory lawy były dziełem budowniczych Zamku, starożytnych wybranych, władających mocami bezpowrotnie utraconymi dla obecnych pokoleń.

Tal wyczołgał się przez klapę szybu, dygocąc z przejścia. Myślał o tym, że być może wkrótce on sam zamieszka w świecie niższych, skąd zapewne nigdy już nie powróci na rozświetlone poziomy wybranych. Mogło się to stać już dzisiaj. Wystarczy, że skompromituje się podczas turnieju i otrzyma kolejne deluminaty...

Tal znów zerknął na helioryt. Zostało jeszcze piętnaście minut. Nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli Ebbitta nie będzie w domu. Puścił się biegiem, mając nadzieję, że nie spotka zbyt wielu półjasnych ani ciemnych, którzy z najwyższą przyjemnością przeszkodziliby chłopcu z oranżystów, śpieszącemu dokądś w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie. Zapewne nie zrobiliby mu wielkiej krzywdy, ale Tal zmarnowałby przez nich cenny czas.

Ebbitt był niegdyś lordem cieni, ksenatorem zakonu granatynów, drugiego w hierarchii zakonów. Był dumą i nadzieją rodziny; wydawało się pewne, że prędkiej czy później awansuje do fioletynów, ale dawno temu, gdy Tal był jeszcze niemowlęciem, stało się coś strasznego i Ebbitt został zdegradowany. Teraz był ciemnym, stał zaledwie o krok wyżej nad niższymi. Tę rangę w jakiś sposób utrzymywał, mimo osobliwego sposobu bycia i niewyparzonego języka.

Wybrał życie w półmroku. Mieszkał na końcu szerokiego tunelu, wykutego w skale i pozbawionego drzwi. Jego

dziwaczna kolekcja bezustannie przestawianych sprzętów zajmowała dobre sto jardów korytarza, a sam Ebbitt uwielbiał dla żartu ukrywać się wśród swoich zbiorów. Tal nie miał pojęcia, w jaki sposób jego dziadkowi stryjecznemu udawało się powstrzymać ludzi przed wchodzeniem do pieczary i wynoszeniem jego rzeczy, ale faktycznie nigdy nie widział tam nikogo prócz krewnych i zaproszonych gości.

Tym razem granicę królestwa Ebbitta wyznaczała olbrzymia szafa. Zagradzała cały korytarz, co nieco zbiło Tala z tropu. Kiedy otworzył drzwi, okazało się, że szafa nie ma tylnej ścianki. Odetchnąwszy z ulgą, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Po ostrożnym ominięciu kilku krzeseł i sekretarzyków, wielkiej klatki dla ptaków i planetarium z brązu, Tal odnalazł Ebbitta śpiącego na starym połączanym tronie. Antyczny mebel był niegdyś wysadzany heliorytami, o czym świadczyły setki symetrycznie rozmieszczonych zagłębień i ślady po dłutach, którymi wydłubywano klejnoty.

Ebbitt miał na sobie proste szare szaty bez stosownych insygniów określających przynależność do zakonu i rangę. Na palcu wskazującym nosił srebrny pierścień z małym heliorytem. Kiedy Tal pojawił się w pobliżu, kamień błysnął, a zza tronu wyłonił się mrokostwór Ebbitta.

Był to wielki kot z bujną grzywą i wypukłym grzbie-tem. Był całkowicie czarny nawet w przyćmionym świetle, co cechowało najpotężniejsze mrokostwory. Na widok Tala kot przeciągnął się i ziewnął, ukazując jaśniejsze cienie wewnątrz olbrzymiej paszczy.

Patron Tala przemienił się w zmniejszoną kopię grzywastego kota, okazując bestii respekt. Tal postąpił kilka

kroków do przodu, uważając, by nie podejść zbyt blisko. Zawsze trochę bał się mrokostwora Ebbitta, choć wiedział, że ten nigdy by go nie skrzywdził.

- Dziadku - powiedział, ale Ebbitt nie poruszył się. Powtórzył więc głośniej: - Dziadku!

Ebbitt nawet nie drgnął. Tal zbliżył się jeszcze o krok i krzyknął:

- Dziadku Ebbicie!

Staruszek na tronie tym razem zareagował. Podskoczył zniecka i wrzasnął:

- Zabij!

Wielki mrokostwór sprężył się do skoku. Tal rzucił się do tyłu, wpadł na trójnożny stołek i nie zdoławszy odzyskać równowagi, runął na twardą kamienną podłogę.



ROZDZIAŁ PIĄTY

W ostatniej chwili cień patron podsunął się pod głowę Tala, amortyzując upadek i ratując swego pana przed ogłuszeniem. Ebbitt roześmiał się chrapliwie, a wielki kot zakręcił się w miejscu i usiadł po prawej stronie tronu.

- Dałeś się nabrać, chłopcze - zasapał Ebbitt. - Myślałeś, że śpię, co?

Tal wstał, starając się nie okazywać wzbierającej w nim złości. Nie było sensu sprzeczać się z Ebbitem, który tymczasem wciąż rechotał, od czasu do czasu głośno pociągając nosem.

- Potrzebuję natychmiastowej pomocy, dziadku - powiedział szybko Tal.

Ebbitt bywał nieznośny przez swoje zamiłowanie do zaskakiwania innych i płatania rozmaitych figli, ale kiedy chodziło o udzielenie pomocy, było z niego o wiele więcej pożytku niż z Lalli i Korry.

- Pomocy? - spytał Ebbitt. W jednej chwili spoważniał, tracąc wygląd rozchichotanego obłąkanego staruszka. Mina i ton głosu Tala musiały mu uświadomić, że

z czymkolwiek chłopiec przyszedł, sprawa była poważna.

- Mów!

- Słyszałeś już pewnie o moim ojcu - Tak mówił tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą. - Ojciec ma nasz helior i musimy zdobyć nowy, więc poprosiłem Lallę i Korę, ale nie chciały nam pomóc. Chyba namówił je mistrz Sushin. No więc zapisałem się na turniej ciała, na dzisiaj. Musiałem się pomylić, bo jestem zapisany na turniej muzyki i nie mam nawet kompozycji. Turniej zaczyna się... och! Za dziesięć minut!

- Sushin, hę? - wymamrotał Ebbitt. - Wietrzę w tym coś niedobrego i nie sądzę, byś się pomylił. Ale najpierw muzyka!

Zerwał się z tronu, wspiął na długi stół i zręcznie przeskoczył na kufer. Mrokostwór podążył tuż za nim. Zeskoczywszy z kufra, Ebbitt zanurkował pod wielkim hamakiem zawieszonym na ramie, wynurzył się z drugiej strony, by zniknąć za gigantycznym srebrnym gongiem. Po chwili pojawił się znowu, trzymając w dłoni długi zwój.

- *Atak Muldrenów na Drashamorę!* - zawołał, wymachując zwojem i energicznie torując sobie drogę wśród mebli.

- Co takiego? - zdziwił się chłopiec, ujmując zwój.

Był to utwór muzyczny zapisany w tradycyjny sposób w dwóch pionowych kolumnach: muzyka po lewej stronie, światło po prawej.

- To tytuł - odrzekł Ebbitt. - Ten utwór nigdy nie był wykonywany. Muldrenowie byli... są wojownikami z Aeniru, ze stron, w których wybrani raczej nie bywają. Drashamora to chyba jakiś potwór.

- I co dalej? - spytał Tal, gapiąc się w zwój.
- Opowiem ci później - odparł Ebbitt. - Masz dziewięć minut na dotarcie do Kryształowego Lasu.

- Dziewięć - jęknął Tal, zerkając na helioryt. - Nie dam rady.

- Polecimy z parą. Chodź!

Ebbitt złapał Tala za rękę i pociągnął za sobą tak szybko, że chłopiec przewrócił kilka sprzętów i boleśnie poobił sobie kolana.

- Parą?! - zawołał Tal, przekrzykując rumor roztrącanych mebli. - Jak to z parą? Gdzie...

Tal zatrzymał się nagle, widząc, że Ebbitt prowadzi go do korytarza ze schodami wiodącymi w dół. Korytarz nie był oświetlony. Staruszek pociągnął Tala mocniej, ale ten się opierał.

- Idziemy w dół - zaprotestował - a ja muszę iść na górę.

Grzywiasty mrokostwór pchnął go lekko w plecy i Tal poleciał do przodu, nie przewracając się tylko dzięki zadziwiającej sile dziadka Ebbitta, który wciąż trzymał go za rękę.

- Trzeba zejść do dna, by móc się odbić do góry - powiedział Ebbitt ze śmiechem.

Tal był bliski płaczu. Jego stryjeczny dziadek najwyraźniej kompletnie oszalał. Cóż z tego, że znalazł utwór dla Tala, skoro teraz uniemożliwiał mu dotarcie do Kryształowego Lasu.

Biegli przez mrok, aż dotarli do końca schodów. Byli teraz gdzieś w jaskiniach niższych. Tal ścisnął helioryt, rozpaczliwie usiłując wydobyć zeń odrobinę światła. Ta

ciemność była nie do zniesienia! Nim jednak zdążył cokolwiek uczynić, Ebbitt uniósł dłoń i helioryt na jego palcu rozbłysnął granatowym światłem - barwą, jakiej Ebbittowi nie wolno było używać, odkąd został zdegradowany do purpurytów.

Tal rozdziawił usta i patrzył na dziadka, zapominając nawet o oddychaniu. Ebbitt tymczasem wodził dłonią w górę i w dół, pozostawiając w powietrzu smugi niemal litego światła. W ten sposób w krótkim czasie otoczył siebie i Tala pulsującym świetlnym cylindrem.

- Trzymaj się blisko mnie - rzucił rozkazującym tonem.

Nie mówił już jak szaleniec. Tal domyślał się, że otaczający go mur ciemnoniebieskiego światła to efekt działania potężnej magii, z całą pewnością zakazanej dla ciemnych purpurytów i młodych oranżystów.

Ebbitt ruszył w dalszą drogę, a przestraszony Tal nie odstępował go ani na krok. Po chwili dotarli do dużych metalowych drzwi, zamkniętych na koło dociskowe. Ebbitt zakręcił kołem, ale nie uchylił włazu, tylko skinął na mrokostwora. Wielki kot wysunął się naprzód i czerń jego ciała zaczęła blaknąć, aż stał się prawie niewidzialny. Następnie bardzo powoli przeniknął przez szczelinę między drzwiami a ścianą.

Po chwili wrócił i przyzwalająco kiwnął głową. Ebbitt szarpnął drzwi. Z odsłoniętego otworu buchnęła para. Tal zamknął oczy, ale niepotrzebnie. Para omywała świetlny cylinder, nie przenikając do środka. Nie czuł nawet ciepła.

Za drzwiami znajdował się pionowy szyb grzewczy. Przez białe kłęby nie było widać, jak bardzo jest głęboki

i jak wysoko sięga. Ebbitt postawił stopę na krawędzi otwartego włazu.

- No chodźże - ponaglił, łapiąc osłupiałego chłopca za rękę.

Ebbitt chciał wskoczyć do szybu! Tal próbował się opierać, ale uścisk dziadka był zbyt silny. Chłopiec poczuł szarpnięcie i poleciał prosto w ziejącą parą czelusć. Zamknął oczy, gotując się na nieuniknioną śmierć w jednym z kotłów centralnego ogrzewania...

Tylko czemu nie spadał? Otworzył oczy i spojrzał w dół. Pod jego stopami jarzyła się płaszczyzna ciemnoniebieskiego światła - światła, które utrzymywało go w górze i chroniło przed gorącem.

- Przygotuj się do startu. Zaraz nadejdzie kolejna fala - ostrzegł go Ebbitt, wyciągając przed siebie rękę, by zamknąć właz.

Światło ustąpiło pod naciskiem jego dłoni, otaczając je warstwą delikatnej granatowej materii. Tal na próbę nacisnął ścianę cylindra, ale nie zdołał ugiąć jej nawet o cal. Dla niego była twarda jak mur. Cień patron zwinął się u stóp chłopca, przybrawszy postać dattu, małego fu-trzastego gryzonia, żyjącego na stokach wzgórz w Aenirze. Było to niegroźne zwierzę; patron przemieniał się weń, kiedy sytuacja niepokoiła go i czuł się bezradny.

- Para! - zawołał Ebbitt, wskazując w dół.

Tal pojrzał pod nogi i ujrzał kłębiącą się białą masę, pędzącą w górę szybu. Chwilę później uderzyła. Świetlny cylinder wystrzelił w górę, zwalając Tala z nóg. Nawet Ebbitt runął na kolana i kurczowo objął swojego mrokostwora, próbując utrzymać równowagę.

Pędzili coraz szybciej w ogłuszającym huku pary. Tal spróbował się podnieść, ale jakaś potężna siła dociskała go do płaszczyzny z granatowego światła. Czuł się tak, jakby nagle usiadło na nim kilka osób, próbujących rozwałkować go na placki.

Tymczasem Ebbitt bardzo szybko liczył. Przy dwudziestu pięciu gwałtownie przyciągnął granatowe światło do siebie, odciągając je od ściany szybu. W powstałą lukę z sykiem wdarła się para i cylinder zaczął zwalniać. Wciąż jednak pędził szybciej niż Tal zjeżdżający zsympem pralni - zbyt szybko nawet dla Ebbitta. Staruszek spojrział na mrokostwora, a ten nie zwlekając skoczył przez światło, by zatopić szpony w kamiennym murze.

Cylinder zastopował niemal natychmiast, przy akompaniamencie straszliwego zgrzytu pazurów mrokostwora. Tal drgnął ze zdumienia. Znał ten dźwięk. Słyszał czasem, jak dobiega zza ścian różnych pomieszczeń. Tłumaczono go zdawkowym słowem „ogrzewanie”, ale to musiał być Ebbitt albo ktoś inny korzystający z tego osobliwego środka transportu.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Ebbitt - tyle że trochę za wysoko. Masz jeszcze trzy minuty. Trzymaj się.

Mrokostwór na chwilę odjął łapy od ściany i cylinder opadł o mniej więcej dziesięć ramieni. Wokół wciąż świszcziała para, ale nie było jej już tak dużo. Tal wstał i ujrzał przed sobą taki sam metalowy właz, przez jaki wszedł do szybu. Ebbitt wyciągnął rękę, znów naginając ścianę granatowego światła, i szybko otworzył klapę. Do szybu wlał się biały blask. Spojrzawszy na zewnątrz, Tal rozpoznał jedno z drugorzędnych przejść. Domyślał się

że jest na poziomie Kryształowego Lasu. Neutralna barwa heliorytów świadczyła o bliskości któregoś z Bezbarwnych Korytarzy

- Wyskakuj! - rozkazał Ebbitt.

Helioryt na jego palcu zabłysnął i staruszek wypchnął Tala na korytarz. Granatowa poświata tym razem rozstąpiła się przed chłopcem. Trzasnęła zamykana kłapa i dziadek Ebbitt ulotnił się razem ze swoim mrokostworem i dziwną świetlną kapsułą o napędzie parowym.

Tal, upewniwszy się, że nie zgubił zwoju, pobiegł w stronę najbliższego przejścia do Bezbarwnego Korytarza. Teraz miał szansę - niewielką, ponieważ nie znał tego utworu i nigdy go nie ćwiczył.

Była to jednak jakaś szansa, być może jedyna...



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kryształowy Las był jednym ze starożytnych artefaktów w Zamku. Składał się z czterdziestu dziewięciu drzew z czystego kryształu. Każde mierzyło dziesięć ramieni wysokości i miało mnóstwo gałęzi. Drzewa stały na środku wielkiej sali, otoczone rzędami ław dla publiczności.

Magia i cudowność Kryształowego Lasu polegała na tym, że każda gałąź, na którą w prawidłowy sposób rzucono promień światła, rozbrzmiewała pojedynczym dźwiękiem o określonej wysokości. Natężenie i czas trwania dźwięku zależały od barwy promienia i tego, jak długo dotykał gałęzi.

Wykonawca stał na umieszczonym w samym środku Lasu kamieniu, nieco wyższym niż człowiek, zaopatrzonym w srebrną podstawkę na zwój.

Tal wspinał się na kamień w stanie dziwnego otępienia. Miał grać pierwszy i publiczność nie była jeszcze zbyt liczna. Na ławach siedziały grupki wybranych ze wszystkich zakonów z wyjątkiem fioletynów, którzy zapewne uważali się za zbyt ważnych, by tracić czas na słuchanie i oglądanie nieznanego chłopca od oranżystów.

Tal starał się nie patrzeć na widzów. Przymocował zwój do podstawki i rozwinął w dół. Na szczęście Ebbitt pisał dużymi wyraźnymi literami, dzięki czemu zapis był czytelny. Utwór nie wydawał się zbyt trudny do odtworzenia.

Tal zerknął ukradkiem w stronę sędziów. Było ich trzech i to oni zawsze kierowali reakcją publiczności. Teoretycznie słuchacze mogli swobodnie wyrażać swoją opinię i pokazywać dowolne światło, czy byłby to Czerwony Promień Niezadowolenia, Fioletowy Promień Zachwytu, czy upokarzający Biały Promień Niesmaku. W praktyce wszyscy naśladowali reakcje dostojnych sędziów, zasiadających na własnej wysokiej ławie, oddzielonej od tłumu szerokim pasem wolnej przestrzeni.

Przy sędziowskiej ławie coś się działo. Tal spojrzął w tamtą stronę akurat w chwili, gdy kobieta z zakonu zielonitów schodziła na dół, ustępując miejsca jakiemuś mężczyźnie. Tal zauważył, że mimo jej przymilnego uśmiechu jej mrokostwór stanął między nią a mężczyzną, jakby wyczuwał w nim zagrożenie.

Tal wrócił do studiowania zwoju, kiedy coś w zachowaniu nowego sędziego zwróciło jego uwagę. Uniósł głowę jeszcze raz i w tejże chwili paraliżujący strach ścisnął go za gardło. Sędzią, który zajął miejsce kobiety, był mistrz cieni Sushin!

Sushin usiadł i odwrócił głowę w stronę Tała. Ich spojrzenia skrzyżowały się i chłopiec pojął, że to, co widzi w oczach starszego mężczyzny, nie jest zwykłym poczuciem wyższości. To była nienawiść. Sushin naprawdę go nienawidził, ale Tal nie miał pojęcia dlaczego. Nie zrobił mu przecież nic złego.

Odwrócił wzrok, trzęsąc się ze zdenerwowania. Musiał za wszelką cenę skoncentrować się na występie. To, że Sushin był sędzią, nie miało żadnego znaczenia. Przekonywał się w duchu, że jeśli dobrze się spisze, z pewnością zostanie nagrodzony. Takie reguły panowały w Zamku.

Na ławie zasiedli już wszyscy trzej sędziowie. Porozumieli się wzrokiem, po czym unieśli swoje helioryty, by posłać w Las trzy promienie. Światło spotkało się z kryształem i sala napełniła się dźwięcznym szmerem. Publiczność ucichła, a Tal odetchnął głęboko.

Sędziowie jeszcze raz omietli promieniami kryształowe drzewa i opuścili helioryty. Tal uniósł własny kamień.

- Jestem Tal Grala-Rerem - zaczął głosem zdławionym tremą. - Wykonam utwór skomponowany przez mojego dziadka stryjecznego Ebbitta Nune-Tarila. Utwór nosi tytuł *Atak Muldrenów na Drashamorę*.

Wypowiedziawszy ostatnie słowo, Tal skierował czerwony promień na najdalszą gałąź centralnego drzewa. Następnie posłał dziesiątki promieni w stronę innych drzew i gałęzi. Kryształ zadźwięczał muzyką, a rozszczepione w nim światło stworzyło trójwymiarowy obraz. Muzyka i obrazy zaczęły opowiadać historię sprzed wieków. Kiedy w jednej części Kryształowego Lasu dzielni wojownicy szykowali się do bitwy, w drugiej z otchłani dziewiczych trzęsawisk wyłaniała się ciemna i groźna istota.

Dwa odgrywane oddzielnie wątki muzyczne powoli zlewały się ze sobą, napełniając powietrze narastającą kaskadą dźwięków. Wojownicy otoczyli potwora, a ten atakując nagłymi wypadami szukał słabych miejsc w zaciskającym się wokół niego kręgu. Nagle w grzmocie i błysku światła,

od którego publiczność podskoczyła na swoich miejscach, rozpoczęła się właściwa bitwa. Wszędzie oślepiająco błyskały kolory, a muzyka nacierała gwałtownymi zrywami, coraz głośniej i głośniej w monumentalnym crescendo.

Nagle zapadła cisza. Kolory zniknęły. Minęły cztery lub pięć sekund, a publiczność wciąż wstrzymywała dech. Kto wygrał? Wtedy pojawił się wątyły błysk czerwieni - pojedynczy ton. Potem czerwień stała się intensywniejsza. Ocalali wojownicy gromadzili się na placu boju, a ich pieśń stawała się coraz głośniejsza. Wreszcie Kryształowy Las zagrzmiał radosną fanfara triumfu. Potwór został pokonany; wojownicy mogli wrócić do swoich domów. Kolumna świetlnych postaci przemaszerowała przez Las, by rozpuścić się w powietrzu wśród ław dla publiczności przy końcowym długo nie gasnącym akordzie.

Tal wsunął helioryt za koszulę i ukłonił się. Był zmęczony, ale dumny. Nie pomylił się ani razu. Zagrał lepiej niż kiedykolwiek dotąd, lepiej niż większość wykonawców, jakich kiedykolwiek podziwiał podczas turniejów muzyki. Z całą pewnością zdobył swój helior!

Wtedy jego twarz smagnał pierwszy Żółty Promień Chybionej Ambicji. Tal uniósł wzrok i spostrzegł, że światło biegło od heliorytu Sushina. Pozostali sędziowie popatrzyli na niego i rodzący się właśnie Fioletowy Promień Zachwytu nagle zgasł. Po chwili wszyscy zgodnie skierowali na chłopca żółte wiązki światła. Kolor ten wyświetlano tym, którzy zdaniem sędziów przecenili swoje siły i nie zdołali osiągnąć wyznaczonego celu. Nie była to zła ocena, ponieważ oznaczała tylko, że wykonawca podjął się czegoś zbyt trudnego. Tal nie musiał obawiać się kary ani otrzymania następnych de-

luminat, ale nie mógł też liczyć na nagrodę... chyba że publiczność nie zgodziłaby się z werdyktem sędziów.

Tal rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że jego strach nie jest zbyt widoczny. Zauważył kilka przebłysków fioleto, kilka Błękitnych Promieni Pochwały i jeden Granatowy Promień Najwyższego Ukontentowania. Wciąż za mało. Większość publiczności, jakkolwiek z wahaniem, podążała za przykładem sędziów.

Przed Talem wzbierała fala coraz bardziej złotego blasku, aż wreszcie decyzja stała się oczywista. Chybiona Ambicja. Tal skłonił się i uniósłszy helioryt, błysnął oranżem, barwą swojego zakonu, by okazać zrozumienie i akceptację. Następnie powoli zszedł z kamienia i pomaszerował do wyjścia, pograżając się w ponurych rozmyśleniach. Nękały go te same myśli, jakie towarzyszyły mu przez cały miniony tydzień.

Musiał zdobyć helior. Wiedział już, że nigdy nie uda mu się wygrać go w Igrzyskach Iluminacji. Pozostał tylko jeden sposób, albo przynajmniej jedyny, jaki zdołał wymyślić.

Przez chwilę rozważał, czy nie warto by pójść do Ebbitta, ale to oznaczałoby konieczność rozmowy o porażce w turnieju, na co nie miał najmniejszej ochoty. Rozmowa z Ebbitem nie była lekka. Utrzymywanie konwersacji w ramach jednego tematu pochłaniało mnóstwo energii. Talowi jej brakowało. Nie mógł też spojrzeć w oczy matce, Grefowi i Kusi. Wszyscy liczyli na niego, a on jak dotąd tylko zawodził ich zaufanie.

Nie. Zabierze się natychmiast do realizacji następnego planu. Pójdzie na najwyższe poziomy zamieszkaną przez fioletynów i poprosi o audiencję u Cesarzowej.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tal nigdy dotąd nie był u fioletynów, na najwyższych piętrach zamku, jeśli nie liczyć wież. Był zaskoczony, widząc, że nie różnią się one od innych poziomów. Kręciło się tu nieco mniej ludzi i nie wszyscy należeli do zakonu fioletynów. Tal skwapliwie kłaniał się wszystkim i błyskał heliorytem po to, by nikomu się nie narazić. Raz nawet chciał zgiąć się w ukłonie przed niższym sługą, ale w ostatniej chwili zauważył swoją pomyłkę.

Wreszcie dotarł do ostatniego piętra. Jedyne problem polegał na tym, że Tal nie miał pojęcia, gdzie szukać Cesarzowej. Po kilkakrotnym zwiedzeniu ogólnodostępnych korytarzy zebrał się na odwagę i zapytał o drogę brylantowego z granatynów, który najwyraźniej donikąd się nie spieszył i którego mrokostwór nie był zbyt przerażający. Tal nie wiedział, co to jest, ale duch miał cztery łapy, głowę, ogon i umiarkowaną liczbę zębów. Wyglądał prawie miło w porównaniu ze straszliwymi mrokostworami, jakie Tal spotkał po drodze.

- Cesarzowa? - zdziwił się brylantowy. Wyglądał raczej na ubawionego niż zagniewanego faktem, że młody

oranżysta ośmielił się zadać mu takie pytanie. - Chcesz prosić o audiencję, jak sądzę?

- Tak - odrzekł Tal. Jego cień patron także skinął głową.

Brylantowy parsknął śmiechem - Tal nie bardzo wiedział dlaczego - po czym wskazał chłopcu drogę do siedziby Gwardii Cesarskiej. Gwardziści mieli zdecydować, czy wpuścić Tala do pałacu. Tal podziękował brylantowemu, kłaniając się nisko i ofiarowując światło. Mężczyzna pożegnał się równie uprzejmie, ale odchodząc znów się roześmiał.

Bez jego wskazówek Tal nigdy nie znalazłby gwardzistów. By do nich dotrzeć, musiał przemierzyć kilka pustych komnat i schodów, które wyprowadziły go ponad ostatnie siódme piętro poziomu fioletynów. Nareszcie trafił do dużej sali, gdzie kilka osób rozpartych wygodnie na krzesłach zajmowało się piciem i pogwarkami.

Kiedy Tal przestąpił próg sali, rozmowy nagle umilkły. Mrokostwory obecnych natychmiast podniosły się z podłogi, a dwoje wybranych zerwało się z krzesła i zastąpiło chłopcu drogę. Bez wątpienia należeli do zakonu fioletynów, ale Tal nie rozpoznał ich insygniów. Na ich białych togach widniały fioletowe pasy i oboje nosili złote napięstniki, ozdobione wizerunkami słońca, łańcuchy ze złotego filigranu oraz mnóstwo heliorytów.

Ich mrokostwory były identyczne, co należało do rzadkości i zdarzało się niemal wyłącznie wówczas, gdy do inicjacji przystępowały bliźnięta. Były to wysokie, z grubsza człekokształtne stworzenia o potężnych barkach i niebywale cienkiej talii, nadającej im wygląd wielkich wirujących bąków. Nie miały szyi, a ich szerokie

i płaskie głowy składały się niemal całkowicie z ogromnych paszcz. Miały też po dwie pary rąk.

Wszyscy wybrani nosili miecze. Tal dostrzegł to dopiero po chwili i wtedy dotarło do niego, że stoi przed Gwardią Cesarską, o której mówił brylantowy. Przynajmniej niektórzy z obecnych musieli do niej należeć.

Tal złożył głęboki ukłon i ofiarował światło. Cień patron usiadł u jego stóp, jeszcze raz przyjmując postać nieszkodliwego dattu.

- Jestem Ethar, gwardzistka Jej Wysokości Cesarzowej, władczyni cieni z zakonu fioletynów - powiedziała jedna ze strażniczek, wysoka kobieta, która mogła być matką Tala. - Co tu robisz, chłopcze?

Tal wyprostował grzbiet, ale nie odważył się podnieść wzroku. Nagle przyszło mu do głowy, że przyście tu być może nie było najmądrzejszym pomysłem. W sali nie było nikogo prócz gwardzistów. Może powinien był udać się gdzie indziej? Może granatyn zadrzył sobie z niego?

- Ja... chciałem zobaczyć się z Cesarzową - wybałał Tal.

Bransolety na jego nadgarstku zadźwięczały cicho, przypominając, że już teraz był bliski degradacji do purpurytów albo czegoś jeszcze gorszego. Być może samym pojawieniem się tutaj zasłużył na następne deluminaty

- Chcesz zobaczyć się z Cesarzową - powtórzyła Ethar złowróbnym tonem.

Gwardzistka podeszła do Tala bardzo blisko. Patrzyła nań teraz z góry. Jej mrokostwór stał tuż obok, rozpościerając wszystkie cztery ręce tak, jakby gotował się do zaduszenia go w śmiertelnym uścisku. Tal przełknął ślinę.

- Tak - odrzekł - Chciałbym poprosić ją o nowy helior dla mojej rodziny. Straciliśmy nasz, bo mój ojciec zaginął i...

- Jak się nazywasz? - przerwała mu Ethar.

- Tal Grala-Rerem. Mój ojciec Rerem jest jaśniejącym Czwartego Kręgu. Niedawno dowiedziałem się, że zaginął podczas wyprawy, na którą wysłała go Cesarzowa.

Kątem oka Tal dostrzegł, że w chwili, gdy wymienił imię swego ojca, Ethar odwróciła się na chwilę, by spojrzeć na pozostałych gwardzistów. Zapewne nie było jej obce.

- Dobrze więc, Tal, dlaczego mielibyśmy przepuścić cię do Cesarzowej?

- Dlaczego? - powtórzył Tal. - Bo potrzebna mi wasza pomoc.

Wszyscy strażnicy wybuchnęli śmiechem, a Ethar cofnęła się o krok. Nie wyglądała już tak groźnie jak przed chwilą. Jej mrokostwór skurczył się, by znów spocząć u jej stóp niczym zwykły cień. Tal westchnął z ulgą. Być może palnął jakieś głupstwo, ale przynajmniej gwardziści byli teraz bardziej przyjaźni.

- Niestety to nie jest takie proste - oznajmiła Ethar. - Ubiegając się o audiencję u Cesarzowej, należy najpierw zwrócić się do starszych swojego zakonu i poprosić ich o pozwolenie. Nie sądzę, byś to uczynił. Czy się mylę?

- Nie - odrzekł ponuro Tal. Pomyślał o mistrzu cieni Sushinie, najjaśniejszym zakonu oranżystów, który z całą pewnością zrobiłby wszystko, by Tal nie uzyskał pozwolenia. - Nie sądzę, by mi go udzielono.

Strażnicy znowu się roześmieli. Tal poczuł gniew. Nie widział nic śmiesznego w tym, że jego rodzina miała kłopoty i że starał się jej pomóc najlepiej, jak potrafił.

- Cóż, skoro już tu jesteś, to możemy urządzić sobie małe zawody - na twarzy Ethar powoli rozkwitał coraz szerszy uśmiech. - Zmierzymy się w grze. Jeśli mnie pokonasz, przepuszczę cię. Jeśli wygram ja, to... niech pomyśle... oddasz mi swój helioryt.

- W jakiej grze? - wyszeptał Tal.

To była jakaś szansa. Tyle, że jeśli przegrałby swój helioryt, straciłby patrona, a wtedy nie byłby już wybranym. Musiałby dołączyć do niższych.

Ethar kiwnęła głową w stronę okrągłego stolika, przy którym siedziało dwóch gwardzistów. Stolik był planszą do gry i Tal rozpoznał ją natychmiast. Na środku tkwił duży krąg z białego marmuru, ujęty między dwa półkola prostokątnych pól - po siedem dla każdego gracza. Na marmurowym kręgu leżała talia dużych tekturowych kart.

- Monsterium - powiedziała Ethar. - Czy przyjmujesz wyzwanie?

Tal znał tę grę. Zestawy do Monsterium były rzadkie, ponieważ nikt już nie potrafił wytwarzać ani kart, ani kręgów bitewnych. Tak się jednak złożyło, że dziadek Eb-bitt miał taki zestaw i Tal grywał w Monsterium nader często - znacznie częściej, niż można by się spodziewać po chłopcu z zakonu oranżystów.

- Tak - powiedział Tal, wiedząc, że tym jednym słowem odcina sobie drogę odwrotu. Teraz albo uzyska audiencję u Cesarzowej, albo zostanie zesłany do podziemi, gdzie dołączy do niższych.

Wszystko zależało od jednej partii Monsterium.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Gracze zasiedli naprzeciw siebie po obu stronach planszy. Tala znowu ogarnął przedziwny spokój, tak jak wówczas, gdy stał przed publicznością w Kryształowym Lesie. Spojrzał w dół, na siedem prostokątnych wgłębień w obrzeżu planszy. Wiedział, do czego służą, ale postanowił udawać, że wie o grze mniej niż w rzeczywistości. Liczył na to, że Ethar go zlekceważy.

- Jaka jest kolejność? - spytał, wskazując palcem prostokąty.

- Rozum, wytrwałość, temperament, odporność, szybkość, siła i cecha specjalna - odrzekła szybko Ethar.

W każdym prostokącie miała się znaleźć jedna karta, określająca daną cechę potwora. Karta na polu siły określała siłę bestii, karta na polu szybkości jej zwinność, i tak dalej. Po wypełnieniu wszystkich pól i sfinalizowaniu rozdania, na marmurowym kręgu powstawały dwa potwory z litego światła, mierzące po pięć cali wysokości i obdarzone atrybutami stworzeń, których wizerunki widniały na kartach. Potwory walczyły ze sobą. Wygrywał ten gracz, który lepiej skonstruował bestię.

Zwierzę na każdej karcie można było przemienić w inne za pomocą światła o określonej barwie. Podczas gry wolno było uczynić to dwa razy na każdym z siedmiu pól. Trik polegał na umiejętnym udawaniu, że tworzy się pewien określony rodzaj bestii, i przemienieniu jej w ostatniej chwili w coś, czego przeciwnik się nie spodziewa, poprzez zmianę kart rządzących jej właściwościami.

Oczywiście sporo zależało od szczęścia. W talii było sto kart, ale każdy gracz otrzymywał tylko siedem, z których każda mogła wystąpić w jednym z trzech wariantów. Tal miał nadzieję, że tym razem dopisze mu szczęście.

Przy stole zasiadł inny gwardzista, który zgodnie z regułami rozdał graczom po jednej karcie. Tal ujął swoją i poczuł bijące od niej ciepło. Każdą kartę do Monsterium pokrywały tysiące heliorytów nie większych niż główka od szpilki. Kamienie rozgrzewały tekturę i świeciły różnymi kolorami, tworząc bardzo realistyczne wizerunki różnych stworzeń. Na większości kart widniały istoty z Aeniru. Kilka pozostałych przedstawiało bestie, których nie znano ani w Aenirze, ani w Zamku.

Pierwsza karta Tala przedstawiała falaropę, zwierzę żyjące w morzu, uzbrojone w tysiące jadowitych wypustek. Falaropa mogła się przydać tylko na polu cechy specjalnej, gdyż wtedy potwór otrzymywał jej wypustki, ale Tal wiedział, że zielony promień z heliorytu może przemienić ją w kurszkę - małą, lecz sprytną i niebywale zwinną jaszczurkę, dobrą na polu rozumu lub szybkości.

Niestety Tal nie pamiętał, jaka była trzecia ewolucja tej karty. Jak przez mgłę przypominał sobie, że czerwone światło przemieniało ją w uściskowca, ale nie był tego cał-

kowicie pewien. Uściskowiec był wyjątkowo paskudnym stworzeniem. Wyglądał jak dywan miękkiego zielonego mchu, dopóki ktoś na nim nie usiadł. Wtedy momentalnie się zwijał, dusząc ofiarę w potężnym uścisku. W grze nieźle sprawdzał się na polu odporności lub siły.

- Ja zacznę, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała Ethar.

Dawało to Talowi nieznaczną przewagę, więc szybko przytaknął.

- Wytrwałość borzoga! - oznajmiła gwardzistka, kładąc kartę na drugim polu od swojej lewej strony.

Tal popatrzył na obrazek przedstawiający straszliwą człekopodobną i bardzo włochatą bestię, zdolną objąć swoimi nieprawdopodobnie długimi ramionami trzech roślących mężczyzn. To było dobre zagranie. Borzogi znane były z tego, że walczyły do końca, a czasem i dłużej. Gdy raz udało im się złapać przeciwnika, nie rozluźniały uścisku nawet po śmierci. Wytrwałość godna pozazdroszczenia.

- A ja... eee, rozum... no tego tutaj - powiedział Tal, kładąc falaropę na polu rozumu.

Później zamierzał przemienić ją w kurszkena, ale chciał, by Ethar jak najdłużej wierzyła, że jej przeciwnik nie wie, co robi.

- To falaropa - powiedziała Ethar. Popatrzyła na bulwiaste miękkie stworzenie obrosnięte mnóstwem wypustek i dodała: - Rzeczywiście wygląda trochę jak wielki mózg.

- Tak właśnie myślałem - sapnął Tal, udając ulgę. - Wielki mózg! Idealny dla rozumu.

Gwardzista wydał kolejne dwie karty. Tal powoli podniósł swoją. Początkowo zobaczył tylko parę gorejących czerwienią ślepiów i dopiero po chwili zaczął dostrzegać niewyraźne zarysy jakiegoś kształtu. Karta przedstawiała coś ukrytego w jaskini albo norze.

Wtedy poczuł dreszcz zgrozy. Na karcie był jamogąb. To straszliwe stworzenie z Aeniru kopało sobie jamy w zboczach gór, a potem wpełzało do nich tyłem i czekało z szeroko otwartą paszczą. To, co Tal początkowo wziął za oczy, było czymś w rodzaju migdałków tkwiących w przełyku bestii. Kiedy ktoś nieostrożny podszedł wystarczająco blisko, wysuwane szczęki jamogęba wystrzeliwały z jaskini, chwytaly ofiarę i wciągały ją do środka, gdzie była powoli trawiona.

W Twórcy Potworów karta z jamogębem była dość nietypowa. Można jej było użyć na polu szybkości ze względu na sprawność, z jaką stworzenie to posługiwało się wysuwanymi szczękami, albo też potraktować owe szczęki jako pożyteczną cechę specjalną.

O ile Tal dobrze pamiętał, pozostałe warianty karty nie były już tak cenne. Pomarańczowe światło zmieniało jamogęba w jorbita: dość szybkiego, lecz niezbyt rozgarniętego nocnego roślinożercę. Światło fioletowe przywoływało rorarcha: jedno z dziwnych kamiennych stworzeń z Aeniru. Niedoświadczony gracz użyłby go na polu odporności, ale w istocie rorarch był bardzo kruchy i wystarczyło jedno mocne uderzenie, by rozpadł się na kawałki. Talowi bynajmniej nie zależało, by jego potwór rozsypał się po przyjęciu pierwszego ciosu, i nie miał pojęcia, jak jeszcze można zagrać rorarchem.

- Szybkość gorblaga - powiedziała Ethar, wykładając drugą kartę.

Na obrazku widniało coś, co przypominało wielką, jarrzącą się błękitną poświatą ropuchę, zbyt wielką i tłustą, by mogła się sprawnie poruszać. Jednym z wariantów gorblaga była pchłucha: owad, który potrafił latać tak szybko, że ludzkie oko nie nadążało ze śledzeniem jego ruchu. Tal wiedział, że Ethar później zmieni tę kartę.

- Szybkość jamogęba - odpowiedział, umieszczając swoją kartę na stosownym polu.

Nie zamierzał jej zmieniać. Nawet jeśli Ethar wymieniłaby gorblaga na pchłuchę, jej potwór nie byłby o wiele szybszy od jamogęba.

- Grałeś w to już - mruknęła podejrzliwie gwardzistka. - Mało kto pamięta, że jamogębem można zagrać na polu szybkości.

- Widziałem, jak mój stryjeczny dziadek kiedyś tak zrobił - odparł Tal, zdecydowany do końca udawać zupełnego nowicjusza.

Odtąd gra potoczyła się szybciej. W ciągu kilku minut Tal i Ethar wypełnili kartami po sześć z siedmiu pól. Po położeniu siódmej karty nie byłoby już możliwości zmiany którejkolwiek z cech i na planszy powstałaby bestia. Ethar pozostawiła puste pole siły, a Tal temperamentu.

Tak jak Tal przypuszczał, Ethar zaczęła zamieniać karty, zamiast wykładać siódmą. Każdy jej ruch napełniał go coraz większym niepokojem. Sam również dokonywał zmian, ale nie był pewien, czy jego potwór będzie lepszy.

- Dobrze ukryłeś swoje umiejętności - powiedziała Ethar, przemieniając potulną udomowioną klatkę na po-

lu temperamentu w obłąkańczo zjadliwego vengenaarla: istotę atakującą nawet osobniki swojego gatunku, jeśli naruszyły granice oznaczonego zapachem terytorium.

Tal machinalnie skinął głową. Skupiony na kartach, nie zwracał uwagi na nic innego. Od tego, czy stworzy lepszego potwora, zależało bardzo wiele. Ethar zmieniła temperament swojej bestii i Tal wiedział już, czym powinien zagrać na tym polu. Jednak kładąc swoją kartę, nieodwołalnie zakończyłby grę. Teraz miał ostatnią szansę na dokonanie zmian.

Szybko przebiegł wzrokiem po siedmiu prostokątach. Rozum kurszkena, odporność samhelskiego półsmoka, temperament... to za chwilę, wytrwałość hrugeny - posunięcie dość ryzykowne, gdyż był to gatunek chwastu rosnącego w Aenirze i skutecznie opierającego się wszelkim próbom wytepienia - szybkość jamogęba i siła dżargula - olbrzymiego węża dusiciela z aenirskich dżungli, mającego zwyczaj pożerania innych dżarguli po ciągnących się całymi tygodniami pojedynkach. Cechą specjalną była umiejętność latania, przejęta od babirobaka.

Tal wertował w myśli zbiór dostępnych wariantów, podczas gdy Ethar złożony palce czekała na jego posunięcie.

- Audiencja u Cesarzowej albo utrata heliorytu - powiedziała po chwili. - Decyduj się.

- Temperament lodozęba - powiedział twardo Tal, kładąc ostatnią kartę i blokując tym samym wszystkie pozostałe na swoich miejscach.

To był jego najbardziej brawurowy ruch. Nie wiedział wiele o tej karcie, ale pamiętał, jak dziadek Ebbitt mó-

wił, że lodozęby należały do najgroźniejszych stworzeń, jakie zamieszkiwały świat duchów. Nigdy nie wpadały we wściekłość, niczego się nie bały i nie okazywały żadnych emocji. Po prostu walczyły najlepiej, jak potrafiły, nie zwracając uwagi na zagrożenie, rany ani cokolwiek innego.

- Siła... dżargula - powiedziała Ethar, grając tą samą kartą co Tal. - Niech rozpocznie się walka!



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po położeniu ostatniej karty Tal i Ethar odsunęli się od stołu. Choć nikt już nie potrafił wytwarzać plansz do Monsterium, wszyscy słyszeli o wybuchu jednej z nich, kiedy wszystkie wmontowane w nią helioryty nagle się zapaliły.

Ten zestaw najwyraźniej działał bez zarzutu. Karty w prostokątnych zagłębieniach zaczęły jarzyć się coraz jaśniejszym blaskiem, a obie strony planszy pokryły się warstwą świetlistego oparu. Po chwili dwa obłoki mgły spłynęły nad marmurowy krąg na środku stolika i powoli zaczęły przybierać kształty potworów.

Tal wstrzymał oddech. Był ciekaw, jak będzie wyglądać jego bestia. W myśli dopingował bezkształtną chmurę, pragnąc, by przemieniła się w najlepszego potwora, jakiego kiedykolwiek udało mu się stworzyć - mistrza, który wywalczy mu audiencję u Cesarzowej. Być może już wkrótce skończą się wszystkie kłopoty!

Potem jego chmura zakrzepła w postaci jaskrawo ubarwionego stworzenia. Bestia była wysoka, smukła i wyglądała jak jaszczurka, gdyby nie to, że stała na tylnych ła-

pach i miała skrzydła. Jej ciało pokrywały opalizujące łuski, mieniające się wszystkimi kolorami, Duże filigranowe skrzydła również były wielobarwne i niemal przezroczyste.

Bestia była urodziwa, wręcz piękna. Nie wyglądała jednak na bardzo silną czy niebezpieczną. Tal wydał z siebie głębokie westchnienie rozczarowania i zamknął oczy. Wolał nie patrzeć na zwierzę przeciwnika, które tymczasem formowało się po drugiej stronie kręgu.

- Interesujące - bąknęła Ethar w zakłopotaniu.

Tal uchylił jedną powiekę. Bestia Ethar była wyjątkowo szpetna - przypominała pofałdowaną miękką kulę w kolorze rdzy. Miała trzy łapy na górze i trzy na dole, a także cztery pary oczu, rozmieszczone wokół tułowia w połowie jego wysokości. Pod każdą parą oczu ziała obficie uzębiona paszcza.

Zdziwiony Tal otworzył drugie oko. Potwór zwinnie fiknął koziołka, stając najpierw na górnych, a potem znów na dolnych łapach. Następnie przewrócił się do tyłu i odbił wysoko w górę, w ogóle nie używając łap.

Bestia Tala obserwowała podskakującego dziwoląga, nie ruszając się z miejsca. Jej błoniaste skrzydła furkotały bardzo szybko, niczym skrzydełka kolibra. Dopiero gdy Tal przyjrzał się jej uważniej, spostrzegł, że jaszczurka nie stoi na planszy, ale unosi się o cal nad nią.

Marmurowy krąg zmienił barwę z białej na czerwoną. Był to sygnał do rozpoczęcia bitwy. Tal zbliżył się o krok do planszy, podobnie jak Ethar i gwardziści, którzy zgromadzili się wokół.

Tal szybko obrzucił wzrokiem karty przeciwniczki, mając nadzieję, że znajdzie jakiś słaby punkt, który da

jego bestii przewagę. Ethar *zagrała* rozumem dofina, co było dość typowym posunięciem. Dofiny były niezwykle inteligentnymi stworzeniami, żyjącymi w morzach Aeniru. Dalej następowały: wytrwałość nifraińskiej małpy, temperament vengendarla, odporność blorema (który, o ile Tal pamiętał, miał wyjątkowo sprężystą i grubą skórę), szybkość pchłuchy, siła dżargula i wreszcie cecha specjalna bąblika. Tal nie miał pojęcia, co to takiego, ale gdy ujrzał gotowego potwora, uznał, że najpewniej chodziło o umiejętność poruszania się przez odbijanie od twardego podłoża.

Krag bitewny trzykrotnie zabłysnął czerwienią. Po trzecim błysku jaszczurka Tala gwałtownie zaatakowała i w tej samej chwili cudak Ethar odbił się od stołu. Potwory starły się w wirującym kłębie skrzydeł, zębów i uzbrojonych w szpony łap, po czym równie szybko odskoczyły od siebie.

- Niech oślepnę!! Trafił go! - zawołała Ethar, wskazując opalizujące krople szmaragdowo zielonej krwi, toczące się po przednich łapach jaszczurki.

- Mój też - odparł Tal, patrząc na kilka paskudnych rozcięć w pofałdowanej skórze dziwoląga.

Marne pocieszenie. Sześcionogi stwór miał bardzo grubą skórę i najwyraźniej nic sobie nie robił z ran. Nim Tal skończył mówić, potwór rzucił się do ataku, jak przystało na istotę obdarzoną temperamentem vengendarla. Tym razem latająca jaszczurka uniknęła starcia, błyskawicznie odlatując w bok. Cudak uparcie nacierał, odbijając się od planszy, koziołkując w powietrzu i wymachując szponiastymi łapami, gotowymi do pochwylenia i rozerwania

ofiary. Jaszczurka zręcznie uchylała się przed ciosami, polatując nad marmurowym kręgiem z furkotem świetlistych skrzydeł. Była zbyt szybka, by dać się złapać, ale podsakującego jak piłka cudaka również nie było łatwo trafić. Miniaturowe potwory tańczyły wokół siebie, na przemian nacierając i wycofując się. Poruszały się tak szybko, że śledzenie przebiegu walki było niemal niemożliwe.

Nagle jaszczurka błyskawicznie zanurkowała w stronę wycofującego się cudaka i wygryzła mu jedno oko. Piłkowany potwór wściekle zaskrzeczał - był to pierwszy dźwięk, jaki wydał z siebie od początku walki - i machnął trójpalczastą łapą, chwytając nią skrzydło przeciwnika.

Rozległ się przeciągły chrzęst i oderwany fragment skrzydła opadł na marmurowy krag. Jaszczurka odskoczyła do tyłu, ale najwyraźniej nie mogła już latać.

- O nie... - jęknął Tal.

Jaszczurka wydała z siebie kilka urywanych prowokujących syknięć, jakby dając znać, że nie ma zamiaru przejmować się uszkodzonym skrzydłem. Cudak z krwawiącym oczodołem, nie tracąc czasu, odbił się od stołu i poleciał szerokim łukiem w stronę przeciwnika, zamierzając zmiażdżyć go swoim ciężarem.

Jednak nawet uziemiona jaszczurka okazała się bardzo szybka. Zwinnie umknęła w bok, w ostatniej chwili uderzając łapą i wydłubując kolejne oko rywala. Rozwścieczona kula zawróciła niemal w miejscu i potoczyła się prosto na tęczowego stwora, Ten wykonał kolejny unik, ale tym razem, kiedy kula znów zmieniała kierunek, nagle rzucił się do ataku i zatopił zęby w łapie bulwiastego monstrum.

- Tak!! - wykrzyknął Tal, wyrzucając w górę zaciśniętą pięść.

Po marmurowym kręgu potoczyła się odgryziona stopa. Jednak cudak miał jeszcze pięć zapasowych i jedna z nich, zatoczywszy łuk, potężnie trzasnęła jaszczurkę w tył głowy. Wielobarwna bestia potoczyła się na drugą połowę kręgu i legła bez ruchu. Wyglądała na ogłuszoną. Tymczasem mięsista piłka podskoczyła i obróciła się w powietrzu, ładując na trzech sprawnych łapach.

- Wstawaj! Walcz, jaszczurko! - ryczał Tal.

- Dobij ją! - wrzeszczała Ethar.

Pozostali gwardziści również krzyczeli. Niektórzy dopingowali bestię Tala, inni dziwoląga Ethar, który niespiesznie sunął w stronę jaszczurki. Nagle cudak odbił się od planszy. Jeden skok, drugi nieco wyższy, jeszcze jeden - wkrótce potwór uniósł się na ćwierć ramienia, z każdym odbiciem coraz bardziej zbliżając się do bezbronnego przeciwnika. Zamierzał zakończyć walkę, zgniatając bestię Tala na miazgę.

Tal patrzył na planszę skamieniały z przerażenia. Choć potwory były jedynie figurkami z magicznego świata, nie mógł znieść myśli, że jego jaszczurka za chwilę zginie. Zapomniał o wszystkim, co zależało od tego małego tęczowego stworzonka. Pragnął tylko, by żyło.

Kiedy mięsista piłka po raz ostatni wystrzeliła w górę, gotując się do zadania ostatecznego ciosu, Tal zamknął oczy. Było mu niedobrze. Nadciągał nieodwołalny koniec.

Powietrzem wstrząsnął ryk gwardzistów. Ethar krzyknęła także, ale był to okrzyk zaskoczenia, a nie triumfu. Tal otworzył oczy i ujrzał swoją jaszczurkę polatującą nad

ogłuszonym potworem-piłką i po kolei wygryzającą jego ocalałe oczy.

- Co się stało? - zapytał gwardzistę, który dopingował jego bestię.

- Podskakująca piłka dała się podejść - powiedział radośnie żołnierz. - Jaszczurka ma cztero- lub pięciowarstwowe skrzydła. Nadal może latać i wcale nie była ogłuszona. Sprytna bestia, dzieciaku!

To jednak nie oznaczało jeszcze końca walki. Co prawda bestia Ethar straciła większość oczu, ale obdarzona wytrzymałością nifrańskiej małpy nie zamierzała się poddać. Krwawiąc z tuzina ran, potoczyła się za jaszczurką, ścigając ją wokół granicy bitewnego kręgu.

- Teraz to już tylko kwestia czasu, chłopcze - powiedział gwardzista sojusznik. - Wystarczy, że...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, uwięzło mu w gardle, kiedy drzwi po drugiej stronie sali uchyliły się ze zgrzytem rzadko używanych zawiasów. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Tal również.

Do sali wsunęło się coś czarnego i bardzo dużego. To był mrokostwór; Tal nigdy dotąd nie widział tak olbrzymiego. Jego głowa, cała pokryta kolcami i ostrymi płytkami, ledwie mieściła się w drzwiach. Tuż za nią pojawiła się wężowata poskręcana w sploty szyja, ale z jakiegokolwiek tułowia wyrastała, był on zdecydowanie za duży, chyba że mrokostwór postanowiłby się skurczyć.

Nagle Tal zdał sobie sprawę, że jest jedyną osobą, która wciąż stoi. Wszyscy gwardziści już od pewnego czasu klęczeli, zgięci w ukłonie przed mrokostworem. Tal zamarł z otwartymi ustami i stałby tak jeszcze dłu-

go, gdyby cień patron nie pociągnął go znacząco za przód koszuli.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, kim... lub czym... jest ów potwór z czerni. Tal bez wątpienia patrzył na Sharrakora Mocnego, mrokostwora samej Cesarzowej - smoka z Aeniru i jedynej istoty swojego rodzaju, jaka posiadała imię.

Sharrakor uniósł swój masywny łeb i szeroko rozwarł paszczę. Tal ujrział zęby z cienia, a dalej wirujące kłęby ciemności.

Wtedy smok wypluł wielką bryłę cienia, która pomknęła prosto na Tala.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tal uchylił się przed pociskiem, ale mrokostwór nie celował w niego. Bryła cienia uderzyła w planszę do Monsterium. Rozległ się przeciągły syczący dźwięk i walczące potwory zniknęły w oślepiającym błysku światła.

Tal patrzył na pustą planszę. Małe plamki cienia biegały po marmurowym kręgu, by połączyć się w większe strużki, które ściekały ze stołu na podłogę. Cofnął się gwałtownie, kiedy kilka cieni przemknęło tuż obok jego stóp, płynąc prosto do Sharrakora. Tal zrozumiał, że mrokostwór uformował pocisk z własnego ciała. Teraz fragmenty rozprysniętego cienia wracały, by znów się z nim połączyć.

Tal chrząknął, szykując się do protestu przeciw tak brutalnemu przerwaniu gry, ale jego patron w porę skoczył do góry i wpakował mu się do ust niczym żywy knebel. Jednocześnie przychylny mu gwardzista chwycił go za ręce tak mocno, że nie mógł się poruszyć.

Ostatnie fragmenty cienia złąły się z ciałem Sharrakora. Smok powoli obrócił głowę najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, jakby szukał następnego celu i niespiesz-

nie wycofał się tam, skąd przybył. Po chwili skrzypnęły zamykane drzwi.

Patron Tala wyśliznął się z jego ust, a gwardziści odetchnęli z ulgą.

' - Co... - zaczął Tal, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej. Przychylny gwardzista i Ethar wzięli go pod ręce i praktycznie wypchnęli za drzwi.

- Idź już! - rozkazał gwardzista. - Odejdź stąd!

- Przecież wygrałem! - zaprotestował Tal. - Mój potwór wygrywał!

- Nie powinniśmy w ogóle grać - powiedziała Ethar, marszcząc brwi. - To był mój błąd, więc nie zostaniesz ukarany.

- Ale ja...

- Sharrakor przyszedł, ponieważ Cesarzowa nie życzy sobie oranżysty na wyższych piętrach fioletu - powiedziała szorstko Ethar i pchnęła Tala tak mocno, że się zatoczył. Patron owinał mu się wokół nóg, pomagając utrzymać równowagę.

- Wracaj na dół, chłopcze! - dorzuciła.

Tal popatrzył na nią z nienawiścią. Czuł się oszukany. Jednak oczy Ethar wyrażały nie gniew czy pogardę, ale zwykły strach. Towarzyszący jej gwardzista też się bał.

- Wróć tu - wymamrotał Tal. - Dostanę się do Cesarzowej i zdobędę mój helior.

I wtedy odwaga go opuściła. Cokolwiek wystraszyło dwoje jaśniejących z fioletynów, wystarczyło aż nadto, by wystraszyć i jego. Nie zwlekając odwrócił się i pobiegł po schodach do zwykłych poziomów fioletynów, a potem do najbliższej kłapy zsypu na pranie.

Zjechał prawie na sam dół: do pierwszego poziomu purpurytów. Gdy się zatrzymał, skórzane podeszwy jego butów obficie dymiły. Był już tak blisko wygranej, tak blisko audyencji u Cesarzowej...

Niestety - uświadomił sobie z rozpaczą - nie wygrał. Nie zdobył nowego helioru. Wszystkie jego plany zawiodły, a zasób pomysłów wyczerpał się. Myślał o swojej matce, przykutej do łóżka w heliorium; o Grefie przesładowanym przez łobuzów z jego lektorium; o Kusi, która była zbyt mała, by zrozumieć tragedię, ale płakała, wyczuwając smutek innych; o ojcu, zgubionym gdzieś w ciemnościach, ufającym, że Tal dobrze opiekuje się rodziną.

Dziadek stryjeczny Ebbitt był jego ostatnią nadzieją. Tak, Ebbitt z pewnością coś wymyśli.

Biała kościana szafa zniknęła z korytarza, choć stała tam jeszcze tego ranka. Wydawało się, że było to całe wieki temu, ponieważ tak wiele zdarzyło się od tamtej pory. Tal nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jak Ebbittowi udaje się wszystko poprzestawiać w tak krótkim czasie.

Przeciskając się między sprzętami, Tal uważnie rozglądał się wokół. Nie miał ochoty na zostanie obiektem kolejnego żartu Ebbitta, tym bardziej że żarty te poważnie kończyły się mniej lub bardziej poważnymi obrażeniami. Na szczęście ujrzał dziadka, kiedy tylko minął marmurowy posąg wybranego, uwiecznionego w pozie rzeźbiarza światła z heliorytem w uniesionej dłoni. To był dobry znak: Kiedy Ebbitt się ukrywał, jego dowcipy był znacznie przykrzejsze.

Staruszek siedział przy planszy do Monsterium i machinalnie tasował karty. Na widok Tala poderwał się z miejsca.

- Jak ci poszło w turnieju? - zapytał. - Słyszałem, że to był rewelacyjny występ.

- Żółty Promień Chybionej Ambicji - powiedział Tal ponuro.

- Nie pytałem o wyniki - burknął Ebbitt. - Nie miałeś szans na sprawiedliwą ocenę, skoro jednym z sędziów był Sushin.

- Ale dlaczego? - Tal opadł na wygodny, choć o wiele za duży fotel, i oparł głowę na dłoni. - Za każdym razem, kiedy próbuję coś zrobić, mam wrażenie, że ktoś działa przeciwko mnie!

- Zapewne dlatego, że tak jest - zauważył Ebbitt. - Po pierwsze, Sushin. Zawsze nienawidził twojego ojca za to, że ten pokonał go w turnieju walki... Osiem razy, o ile dobrze pamiętam. Jednak Sushin nie ośmieliłby się działać sam. Obawiam się, że ktoś wyżej postawiony nie przepada za naszą rodziną.

- Kto?

- Nie mam pojęcia.

Ebbitt wzruszył ramionami, po czym nagle ściągnął usta, zagwizdał, imitując śpiew jakiegoś ptaka i komicznie przechylił głowę, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi. Żadna nie nadeszła, więc podjął swoją wypowiedź:

- Dowiem się tego. A teraz powiedz mi, gdzie byłeś. Turniej skończył się dawno temu.

- Poszedłem do Cesarzowej...

- Co zrobiłeś?! - ryknął Ebbitt.

- ... ale gwardziści nie wpuścili mnie do niej - ciągnął Tal. - Ethar powiedziała, że zrobi to, jeśli wygram partię Monsterium. Wygrywałem, kiedy Sharrakor...

- Sharrakor! - zawołał Ebbitt, łapiąc się za siwe włosy i skacząc przed Talem w przedziwnym, obłąkańczym tańcu.

- Sharrakor wszedł, zniszczył planszę i nasze bestie zniknęły - powiedział Tal. - A potem Ethar wyrzuciła mnie.

- Na słońce, gwiazdy i wszystkie rzeczy ze światła - zasapał Ebbitt, opadając na kolana. - Czyś ty do reszty zgłupiał? Nigdy, przenigdy nie chodź do Cesarzowej bez pozwolenia!

- Chciałem tylko poprosić o helior - powiedział Tal zrezygnowanym tonem. Wyglądało na to, że nic nie potrafi zrobić dobrze. - Muszę go jakoś zdobyć. Prosiłem kuzynki mamy, próbowałem wygrać turniej, a potem poszedłem do Cesarzowej. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Jak to? - zdziwił się Ebbitt. - Jesteś moim wnukiem, czyż nie? Z pewnością odziedziczyłeś choć część mojej niepospolitej inteligencji.

- Nie rozumiem.

Tal miał poważne wątpliwości co do owej mocy umysłu. Ebbitt z pewnością miewał wiele dziwacznych pomysłów, ale to nie było to samo.

- Gdzie można znaleźć helioryty? - zapytał starzec. - Helioryty, które do nikogo jeszcze nie należą. Całe mnóstwo prześlicznych kamieni, czekających, aż je ktoś weźmie.

- Nigdzie - odparł Tal z ponurą miną.

Ebbitt wyciągnął dłoń ku górze i zaczął podskakiwać, kręcąc się w kółko i śpiewając.

- Wysoko w słońcu, wspaniałym słońcu, po które kamienne palce sięgają przez mroczną magiczną sferę!

- Chodzi ci o... wieże?

Tal nie mógł uwierzyć w to, co sugerował mu dziadek.

- Tak! - zawołał Ebbitt.

Przestał podskakiwać i znów ukląkł naprzeciw Tala, nagle poważniejąc.

- To niebezpieczne - powiedział - ale wydaje mi się, że to jedyna nadzieja. Wszystkie zwykłe drogi zdobywania heliorów zostaną zablokowane przez Sushina albo wybranego, z którym się sprzymierzył. Będziesz musiał wspiąć się na jedną z wież i ukraść klejnot. Weź kilka, jak już tam będziesz.

- Ukraść helior?! - wykrzyknął Tal. - A co ze strażnikami, co z mrokostworami, pułapkami?

- Spróbuj wspiąć się na czerwoną - powiedział spokojnie Ebbitt. - Jest najsłabiej strzeżona. Twój patron wygląda na bystrego. Pomoże ci uniknąć pułapek.

Tal spojrział na swojego patrona, który tymczasem przybrał kształt naturalnego cienia chłopca, ale z dumnie wypiętą piersią. Zapewne uważał kradzież heliom za znakomity pomysł.

- Od czego mam zacząć? - spytał Tal. - Nie wiem nawet, jak wydostać się na zewnątrz.

- Znam drogi niższych, nieznane wybranym - odparł Ebbitt. - Zaprowadzę cię.

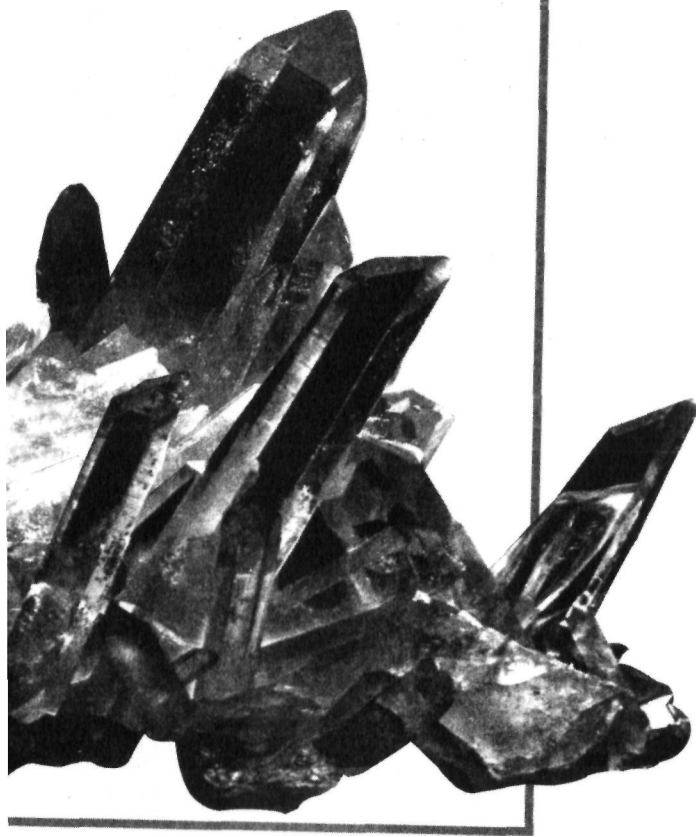
Tal popatrzył na dziadka, a potem na nadętego patrona. Oczywiście wiedział, że plan jest bardzo ryzykowny, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Dobrze - powiedział wreszcie - ale najpierw muszę iść do domu i porządnie odpocząć.

„A przede wszystkim - dodał w duchu - pożegnać się z mamą, Grefem i Kusi. Na wypadek, gdybym miał już nie wrócić”.

- Znakomicie! - ucieszył się Ebbitt. - Jestem pewien, że zabawisz się jak nigdy!

CZEŚĆ DRUGA



Potem



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zabawisz się, zabawisz, zabawisz..."

Głos Ebbitta odbijał się echem w głowie Tala, powoli ginąc w dziwnym, ogłuszająco głośnym szumie. Było bardzo zimno i ciemno. Przez kilka chwil Tal był przekonany, że przeżywa jakiś koszmarny sen. Już niedługo, za sekundę lub dwie, obudzi się w ciszy i miękkim świetle swojej sypialni.

Tyle że to nie był sen!

Tal poszedł za radą dziadka: wspiął się na Czerwoną Wieżę, potem spadł z niej i przeleciał przez Sferę. Za kilka sekund runie na dachy Zamku, a to będzie...

Nagle uświadomił sobie, że nie spada w dół, ale szybkuje niczym pióro niesione wiatrem. Coś boleśnie uciskało mu piersi. Tal odwrócił głowę, ale nie zobaczył nic. Wokół panowała całkowita ciemność - ciemność, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył; mrok tak czarny i przerażający, że jego ręka sama powędrowała do heliorytu.

Ale heliorytu nie było. Srebrny łańcuszek wciąż opłatał szyję Tala, ale sam kamień gdzieś się zapodział. Może przesunął się na plecy? Tal wsunął palce za kołnierz i po-

ciągnął łańcuszek, ale ten nie poruszył się. Musiał się o coś zaczepić. Pociągnął mocniej i nagle za jego plecami rozbłysło światło. W tym samym momencie rozległ się dźwięk, który podziałał na Tala niewiarygodnie uspokajająco - ostrzegawczy syk jego patrona!

Tal jeszcze raz obrócił głowę i ujrzał patrona przylepionego do jego pleców. Duch wytworzył cztery ramiona, którymi obejmował Tala, oraz parę cienkich i bardzo długich skrzydeł. To dlatego nie spadali! Tal i jego patron szybowali w przestworzach niczym ptak.

Chłopiec z ulgą wybuchnął szalonym śmiechem. Mknął przez chmury, niesiony wiatrem w nieznaną ciemność, coraz bardziej oddalając się od Zamku, ale przynajmniej miał przy sobie patrona i helioryt.

Śmiech zamarł mu na ustach, kiedy wokół znów zapadła nieprzenikniona ciemność. Nerwowo sięgnął do srebrnego łańcuszka - wciąż tam był. Pociągnął i w tym momencie patron zasyczał. Pociągnął mocniej i patron zasyczał głośniejsze.

Nareszcie zrozumiał. Patron musiał przywrzeć do heliorytu, wysysając zeń każdą iskierkę światła, by móc uczynić się tak dużym i silnym, jak to tylko możliwe. Wszystkie cienie potrzebowały światła, by żyć. Bez heliorytu cień patron rozproszyłby się w panującej pod Sferą wiecznej ciemności.

Padał gęsty śnieg. Tal czuł na twarzy uderzenia lodowatych wilgotnych grudek. Był już całkowicie przemoczony. Pamiętał moment, w którym przebił Sferę, ale kompletnie stracił poczucie czasu. Ból w zdrętwiałych od mrozu dłoniach i twarzy podpowiadał mu, że leci już bardzo długo.

Spojrzał w dół, ale nie zobaczył nic prócz czerni tak przerażającej, że natychmiast zamknął oczy. Lepiej było udawać, że się śpi, niż patrzeć na świat pozbawiony światła.

Przyszło mu nawet do głowy, że być może zginął. Może to właśnie działo się po śmierci. Poza Zamkiem nie było niczego. Zginął i znalazł się gdzieś indziej. Być może będzie spadał wiecznie...

Nie czuł się jednak jak człowiek martwy. Nadal miał ciało, dygocące z zimna i strachu. Czuł, że patron stara się objąć go jak najmocniej, zapewniając choćby minimalną osłonę przed wiatrem - z mizernym skutkiem, ponieważ znaczną większość swojego ciała musiał przekształcić w skrzydła, które utrzymywały ich w powietrzu.

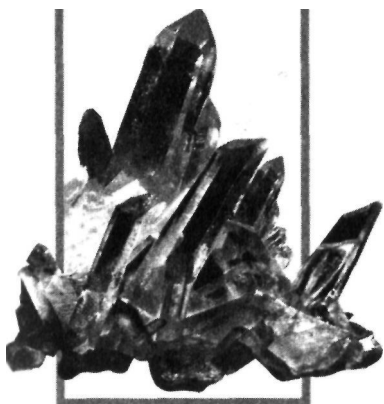
Lecieli dalej. Oprócz poczucia czasu Tal stracił czucie w rękach i nogach. Atakowany przez wiatr, śnieg i lód, bezustannie zaciskał i otwierał powieki, usiłując oczyścić oczy z zamarzających łez. Wciąż jednak nie widział ani śladu światła. Wkrótce znów zaczął tracić przytomność. Był całkowicie przemarznięty. Pomyślał, że na pewno umrze, a ten koszmarny lot przez ciemność i śnieżycę nigdy się nie skończy. Wtedy TO zobaczył - gdzieś w dole daleko przed nim pojawiła się mała plamka światła.

- Zamek! - zawołał Tal, a właściwie usiłował zawołać, bo przez zamarznięte wargi przedostało się jedynie stłumione buczenie.

Patron uniósł jedno skrzydło i łagodnie zakręcił w stronę światła. „To na pewno Zamek” - pomyślał Tal, zapominając, że wiatr niósł ich coraz dalej od domu. Z tego co wiedział, w całym Ciemnym Świecie nie było nic innego. To musiał być Zamek.

W miarę zbliżania się do światła Tal czuł się coraz bardziej zbity z tropu. Jego na wpół zamrożony mózg nie radził sobie z tym, co widziały oczy. Światło było zbyt małe i słabe, by mogło pochodzić z Zamku. Powinien już widzieć setki, tysiące światła!

Tal wciąż głowił się nad nową zagadką, kiedy patron nagle syknął i gwałtownie załopotał skrzydłami w desperackiej próbie zmniejszenia szybkości. Trzy długie sekundy później Tal i jego uskrzydłony cień wbili się w wielką moką zaspę, wzbijając wielką fontannę śniegu.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wbili się w zaspę bardzo głęboko. Tal pomyślał, że zginie z braku powietrza, nim zdoła wygramolić się na powierzchnię. Na szczęście odzyskał helioryt, niepotrzebny już patronowi. Miał więc trochę światła i mógł stwierdzić, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Tak mu się przynajmniej wydawało. Zagrzebany pod zaspą, czuł się tak, jakby nagle znalazł się pod wodą. Zimny mokry śnieg otaczał go ze wszystkich stron; wciskał się do ust i nosa za każdym razem, gdy Tal próbował zaczerpnąć powietrza. Jedynym sposobem posuwania się naprzód okazało się połączenie kopania i ruchów pływackich.

Helioryt ogrzewał go i oświetlał mu drogę. Kiedy Tal wreszcie dotarł do powierzchni zasy i wygrzebał się z niej do pasa, uniósł kamień i skupił na nim wszystkie myśli. Helioryt rozjarzył się blaskiem, a po rękach i przemocznym ubraniu Tala popłynęły fale gorącego powietrza.

Tal jęknął i zrobił kilka min. Powoli odzyskiwał czucie w skostniałych dłoniach i twarzy. Stał tak i stał, pobierając z heliorytu tyle energii, ile tylko mógł. Mimo to nadal nie było mu naprawdę ciepło. Patron udrapował mu się

na ramionach niczym żywy płaszcz, ale i to niewiele pomagało.

Jeszcze gorsze od chłodu było poczucie dezorientacji. W kręgu blasku rzucanego przez helioryt nie było nic prócz śniegu. Rozciągających się dalej ciemności nie rozpraszały żadne światła. Była to straszna i obca okolica, nawet bardziej obca niż Aenir. Tal był już w królestwie duchów i przynajmniej teoretycznie wiedział, jak sobie tam radzić. Wiedział też, jak się stamtąd wydostać. A jeśli uwiązał na tym lodowym pustkowiu na zawsze?

Ciepło heliorytu pomagało mu myśleć. Było przyjazne i uspokajające, nawet jeśli roztopiało śnieg wokół jego nóg, sprawiając, że przemakały coraz bardziej, podczas gdy górna połowa jego ciała wysychała.

- Muszę wrócić do Zamku - powiedział Tal.

Mówiąc to głośno, poczuł się pewniej. W ten sposób łatwiej było uwierzyć, że to w ogóle możliwe. Nad ramieniem Tala wyrosła głowa patrona, która skinęła potakująco.

„Łatwiej powiedzieć niż zrobić” - pomyślał Tal, rozglądając się wokół. Helioryt oświetlał najbliższe otoczenie, ale już dziesięć ramieni dalej panowała nieprzenikniona ciemność. Nigdzie nie było widać światła, które przykuło uwagę Tala podczas lotu.

- Gdzie jest Zamek? - zapytał, mając nadzieję, że cięć patron będzie to wiedział.

Patron poruszył się na jego ramionach i wysunawszy z siebie coś w rodzaju ręki, zaopatrzonej w jeden palec, wskazał nią kierunek.

- Ach tak... - rzucił Tal niepewnie. Ta strona wyglądała tak samo jak wszystkie inne. - Jak daleko?

Patron lekko napęczniał i zaraz spłaszczył się znowu, co wyglądało na odpowiednik wzruszenia ramionami. Tal zastanowił się nad swoim pytaniem, próbując nadać mu inną formę. Przywykł do porozumiewania się z cieniem patronem. Często musiał zadawać to samo pytanie na kilka różnych sposobów.

- Ile ramieni dzieli nas od Zamku? - spytał po chwili.

W Zamku odległość mierzono ramieniami. Tal wiedział, że jeden ramię to długość jego ręki, mierzona od ramienia do nadgarstka. Większych jednostek nie używano.

Z ręki patrona wyrosło dziesięć lub dwanaście palców, które zaczęły trzepotać tak szybko, że nie sposób było liczyć.

- Daleko - przetłumaczył sobie Tal. Wiedział, że tak będzie, ale wciąż miał nadzieję, że się myli. - Cóż, chyba najlepiej będzie od razu ruszyć w drogę.

Obróciwszy się w stronę wskazaną przez patrona, zaczął mozolnie brnąć przez śnieg. Było to bardzo męczące, o wiele bardziej, niż się spodziewał. Śnieg był wilgotny i zbijał się przed nim w twardą masę, a otaczająca Tala warstwa ciepłego powietrza raczej utrudniała, niż ułatwiała wędrówkę.

Po pokonaniu kilkuset ramieni Tal był kompletnie wyczerpany. Zaczął pociągać nosem, co przeszkadzało mu w swobodnym oddychaniu. W Zamku poszedłby po prostu do rodziców, którzy wyleczyliby go z tej drobnej dolegliwości za pomocą swoich heliorytów. Teraz mógł jedynie cierpieć, tym bardziej że nie uczył się jeszcze uzdrawiania.

Mimo wszystko nie zamierzał się poddawać. Myślał o chorej matce, przykutej do łóżka gdzieś daleko stąd.

I co stało się z Grefem? A jeśli mrokostwór, który go zaatakował, był taki sam jak ten, na którego Tal natknął się ponad Sferą? Może Gref już nie żyje albo leży gdzieś ranny i bezradny? Tal musiał jak najszybciej wrócić do Zamku.

Tymczasem warstwa śniegu stawała się coraz cieńsza i choć łatwiej było przez nią iść, Tal coraz częściej ślizgał się i tracił równowagę. Wkrótce uświadomił sobie, że stąpa po lodzie, pokrytym lekkim śnieżnym puchem.

- Raz, dwa, trzy...

Zaczął liczyć kroki. Gdzieś w okolicy tysiąca zgubił się i musiał zacząć od początku. Patron co kilka minut pokazywał mu właściwy kierunek. Bez tego Tal kręciłby się w kółko. Wszystko wokół wyglądało tak samo: lód i nic prócz lodu.

Doliczył do tysiąca dziewięćdziesięciu ośmiu kroków, kiedy nagle uświadomił sobie, że choć wciąż głośno liczy, jego nogi się nie poruszają. W rzeczywistości upadł twarzą w śnieg, zbyt wyczerpany, by zdawać sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Patron wciskał się pod niego sycząc i usiłując dźwignąć w górę jego bezwładne ciało. Widząc te rozpaczliwe wysiłki, Tal wybuchł histerycznym śmiechem, choć sytuacja z pewnością nie była ani trochę zabawna. Wstał jednak, a kiedy chwiejnie ruszył do przodu, jego śmiech przemienił się w duszący kaszel.

Wtedy ujrzał światło. Dziwna zielona poświata sunęła po lodzie szybciej, niż Tal mógłby biec, nawet gdyby był zdrow i wypoczęty. Przez chwilę miał wrażenie, że patrzy prosto w wielkie zielone ślepie potwora, pędzącego w jego stronę.

Kiedy potwór zbliżył się i zwolnił, Tal ujrzał, że jest on w istocie skrzynią, wleczoną po lodzie przez sześć kosmatych stworzeń o czterech nogach i wysoko uniesionych głowach. Spomiędzy czegoś, co Tal uznał za uszy, wystąpiły im rozłożyste, ostro zakończone gałęzie.

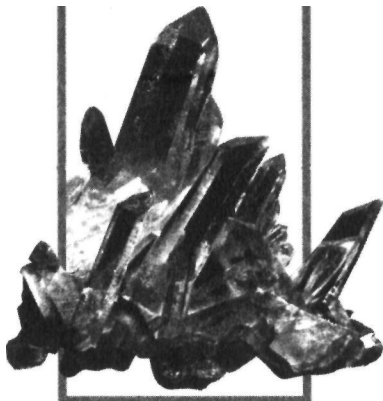
Skrzynka musiała być czymś w rodzaju wózka, takiego jakich niżsi używali do przewożenia ciężkich rzeczy. Nie opierała się jednak na kołach, tylko na dwóch bardzo długich i wąskich niby-stopach.

Miękka zielona poświata pochodziła z dwóch kul, kołyszących się po obu stronach osobliwego pojazdu. Sporządzono je z ciasno splecionych ze sobą kościanych listewek, a światło sączyło się przez szczeliny w splocie.

Gdy Tal spostrzegł, że w lodowym wehikule ktoś siedzi, poczuł niewyobrażalną ulgę - to musiał być ktoś z niższych. Nigdy dotąd nie zastanawiał się, skąd niżsi biorą żywność i wszelkie dobra używane przez wybranych. Najwyraźniej zdobywali to wszystko tutaj, na zewnątrz Zamku. Teraz wystarczy zająć ten dziwaczny środek transportu i kazać natychmiast odwieźć się do domu.

- Dzięki światłu - westchnął i ruszył do przodu, trzymając uniesiony helioryt, gotów błysnąć nim i dowieść swej przynależności do wybranych.

W następnym momencie leżał na lodzie twarzą w dół z kolanami owiniętymi ciałem patrona. W miejscu, gdzie przed chwilą była jego głowa, świsnęła długa włócznia.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Napastnik wydał z siebie przenikliwy okrzyk, a Tal błyskawicznie przetoczył się na bok. Strach dawał mu siłę. Nie zwlekając zerwał się na nogi i rzucił do szalonej ucieczki.

Włócznik zastąpił mu drogę. Był to niski dwunożny potwór, cały obrośnięty długim futrem, całkowicie skrywającym jego rzeczywiste kształty. W białej jak kość twarzy, pokrytej groźnie wyglądającymi znakami, świeciły głęboko osadzone żółte ślepie. Poniżej oczu ziała okrągła czarna dziura. Monstrum trzymało w łapie topór o olbrzymim ostrzu, wykonanym nie z metalu, ale z kości lub jakiegoś szklistego minerału.

Tal instynktownie uniósł helioryt i poraził stworzenie błyskiem białego gorącego światła. Potwór miauknął jak kot i ruszył na Tala, osłaniając oczy jedną łapą, a trzymanym w drugiej toporem zawzięcie siekąc na oślep powietrze.

Tal zaczął biec tyłem, starając się utrzymać światło skupione na oczach potwora. Ten jednak patrzył w dół, dociskając podbródek do piersi, w ten sposób unikając

oślepienia. Jednocześnie nie przestawał nacierać, wyjąc i wściekle wywijając toporem.

Ostrze świszczało tuż przed cofającym się Talem. Nie było przed nim ucieczki. Tal był zbyt zmęczony i czuł, że lada chwila straci kontrolę nad heliorytem. Wiedział, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, zostanie posiekany na kawałki.

Cień patron chyba także to zrozumiał, bo nagle ześliznął się z ramion swojego pana. Spadł na lód jako czarna nieregularna plama, ale zaraz poderwał się i przeistoczywszy w korwila, skoczył na napastnika. Potwór, przez cały czas chroniący oczy przed światłem, zauważył zagrożenie, gdy było już za późno. Patron wczepił się w jego kolano, a zęby z cienia zaczęły rozszarpać grube futro i być może także ukryte pod nim ciało.

- Auu! - zawył potwór zadziwiająco ludzkim głosem.
- Na Kronę! Zapłacisz mi za to!

Usłyszawszy ten głos, Tal omal nie zatrzymał się w pół kroku. To nie potwór! To dziewczyna! Straszliwa twarz była maską z bursztynowymi soczewkami w otworach na oczy.

Potwór czy dziewczyna, był to wciąż niebezpieczny przeciwnik. Wykorzystując zaskoczenie Tala, wojownicza rzuciła się do przodu. Tępy koniec topora ugodził go w żołądek z nieprzyjemnym głuchym odgłosem. Tal zgiął się wpół i runął na lód, posyłając promień heliorytu w niebo.

- Nie, nie! - błagał, zasłaniając się ręką, jakby wierzył, że zatrzyma nią nieuchronny cios topora. - Nie zabijaj mnie!

- Giń, złodzieju! - zawołała dziewczyna. - To jest lód Tułaczy.

Talowi zdało się, że czas zwolnił bieg. Widział dziewczynę unoszącą topór wysoko nad głowę i ostrze złowrogo połyskujące w świetle heliorytu. Patron coraz głębiej wgrzyzał się w nogę wojowniczkii, ale ta nie zwracała na niego uwagi. Topór wznosił się coraz wyżej i Tal usłyszał, jak dziewczyna wciąga powietrze do płuc przed zadaniem ciosu, który niewątpliwie przetnie go na pół. Ostrze ruszyło w dół i dokładnie w tym samym momencie rozległ się okrzyk trzeciej osoby - ostry głos kobiety, przywykłej do rozkazywania i oczekującej posłuszeństwa.

- Milla! Stój!

Było jednak za późno, by powstrzymać rozpędzony topór. Tal patrzył na spadające ostrze jak zahipnotyzowany. Ułamek sekundy przed uderzeniem zdawał się trwać całe wieki grozy.

W ostatniej chwili Milla zmieniła tor uderzenia i ostrze wbiło się w łód tuż obok twarzy Tala, obsypując ją deszczem ostrych odłamków. Oszołomiony Tal leżał bez ruchu, patrząc, jak dziewczyna zsuwa maskę, odsłaniając bladą owalną twarz. Niesamowite zielone oczy wciąż błyszczały nienawiścią, a policzki oblewał rumieniec emocji.

- Nie myśl sobie, że będziesz żył, pożeraczu cieni - warknęła, pochylając się nad Talem tak nisko, że na policzkach czuł ciepło bijące od jej twarzy. - Wkrótce Krona odda cię w moje ręce. Znow będziemy walczyć.

Po tych słowach wstała i oddaliła się, znikając Talowi z oczu. Cień patron, który tymczasem oderwał się od nogi wojowniczkii, owinał mu się wokół szyi. Wydawał się

zadowolony, że nie musi już stawiać czoła tej obłąkanej dziewczynie.

Tal nie wstawał. Wydawało mu się, że w tej sytuacji najrozsądniej będzie zebrać siły. Wciąż miał swój helioryt i teraz, kiedy nie musiał obawiać się zaskoczenia, mógł uczynić zeń lepszy użytek. Zauważył już, że dziewczyna miała tylko naturalny cień. Nie należała do wybranych, a zatem nie mylił się, zgadując, że niżsi zapuszczają się w te okolice. A może tu mieszkają? Dziewczyna jednak nie przypominała nikogo z niższych, jakich kiedykolwiek widział. Twarz miała bladą, ale policzki rumiane. Jej włosy były jasne, niemal białe, a oczy przenikliwe i zielone. Tal nigdy nie widział włosów o takiej barwie i dopiero teraz uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział oczu niższego. W obecności wybranych zawsze spuszczały głowy.

Wciąż leżał na łodzi, kiedy wyrosła nad nim ciemna postać - kobieta, która uratowała mu życie. Miała zsuniętą maskę i widać było, że jest znacznie starsza od Milli. Była też inaczej ubrana. Jej futro nie było tak grube i sprawiało wrażenie miększego. Tal uświadomił sobie, że Milla miała na sobie coś w rodzaju dodatkowej zbroi, a ta kobieta nie. Nie miała też topora.

- Wstawaj - rozkazała. - Wstawaj, albo każę Milli poświęcić cię i nakarmić tobą wreszcie.

Tal podniósł się. Kiedy patron poruszył się na jego szyi, kobieta cofnęła się o krok, głośno wciągając powietrze.

- Co to jest? - spytała.

Tal zamarł w bezruchu, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Ci ludzie, obdarzeni tylko naturalnymi cieniami, musieli należeć do jakiegoś rodzaju niższych. Istniał tyl-

ko jeden sposób traktowania niższych, a polegał on na wydawaniu im poleceń. Być może te kobiety jeszcze nie uświadomiły sobie, że Tal jest wybranym.

- To mój cień patron - odrzekł wyniośle. - Jestem Tal Grała-Rerem z zakonu oranżystów, wybrany z Zamku. Przedstawcie się!

To nie był najlepszy pomysł. Milla, odchodząca w stronę pojazdu, nagle odwróciła się z wściekłym warczeniem. Błysnął topór. Jednak starsza kobieta uniosła dłoń i dziewczyna znieruchomiała.

- Nie zna naszych obyczajów - powiedziała kobieta. - To niezwykle na lodowym pustkowiu. Jest wiele rzeczy, jakie trzeba tutaj wiedzieć.

Zamyśliła się na chwilę, a potem podjęła:

- Jesteśmy ludźmi lodu, Tal. Ja jestem Kroną klanu Tułaczy, a to Milla, która pragnie zostać Dziewicą Tarczy i być może nią zostanie. Pójdiesz z nami na statek, Talu Grała-Reremie.

Wymówiła jego imię w dziwaczny sposób i Talowi nie spodobał się ton, jakim do niego przemawiała. Przecież miała tylko naturalny cień!

- Zawieziecie mnie do Zamku - zażądał. - Natychmiast!

Jego drżący głos zabrzmiał niezbyt pewnie nawet dla niego samego. Nie był pewien, czy pokazywanie niższym, kto tu rządzi, miało tutaj jakiś sens. Miał do czynienia z dzikusami, zapewne zdolnymi do wszystkiego.

- Proszę - dodał łamiącym się głosem.

Krona zmierzyła go wzrokiem, po czym odwróciła się w stronę Milli. Tal nie widział, co zrobiła, ale Milla wy-

dobyła nagle spod swoich futer płaską zakrzywioną kość. Tal wciąż zastanawiał się, co to może być, kiedy kościany przedmiot spadł mu na głowę, pozbawiając przytomności.

Kiedy Tal upadał, cień patron błyskawicznie złapał go i delikatnie złożył na lodzie. Niemal w tej samej chwili doskoczyła do nich Krona, trzymająca w dłoniach otwarty worek z grubej skóry selskina. Zgarnęła śnieg i razem z nim patrona. Patron natychmiast zaczął przesączać się przez szwy, ale Krona wiedziała, co robić. Nie zwlekając wetknęła helioryt Tala za jego koszulę.

- Cień, który chodzi sam, jest bezradny bez światła - oznajmiła w ciemności. - Krony to wiedzą, Milla. Pójdę za twoimi saniami, ale nie za blisko, żeby go nie zbudzić.

- Czy muszę wlec toto ze sobą? - spytała Milla opryskliwie, wskazując na Tala.

- Tak - odparła Krona. - I pospiesz się. To tylko chłópiec i ma w płucach wilgotną chorobę. Musimy dotrzeć na statek, nim przyjdzie po niego śmierć.

- To ja pošę mu śmierć - szepnęła Milla.

Pomrukując ze złością chwyciła Tala pod ramiona i zaczęła wlec go do sań.

- Gdyby był normalnym tułaczem, nosiłabym mój pierwszy znak zwycięstwa przed porą snu!

- Ale nie jest tułaczem, normalnym czy nie - powiedziała twardo Krona. Jej oczy świeciły w ciemnościach, choć stała zbyt daleko, by mogły się w nich odbijać światła sań. - Szybciej, dziecko! Czy wszystko muszę ci powtarzać dwa razy?!



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tal powoli odzyskiwał przytomność. Najpierw wrócił mu słuch - do jego świadomości dotarły nieznanne dźwięki. Otaczał go szum i trzaskające odgłosy, zdające się przenikać w głąb kości.

Otworzył oczy i poczekał, aż wyostrzy mu się wzrok. Nie było ciemno, co zauważył z radością. Na jego twarz padało światło heliorytu, jasne i ciepłe. Jednak na krawędzi pola widzenia dostrzegł też inne światło: miękkie zielony blask.

Bolała go głowa i całe ciało. Było mu jednak ciepło dzięki futrom, którymi ktoś go przykrył, kiedy był nieprzytomny. Czuł się dziwnie, mając taki ciężar na sobie, ale nie narzekał, pamiętając, jak bardzo przedtem przemarzł.

Oprzytomniawszy na dobre, usiadł, zakaszłał i rozejrzał się wokół. Był na pokładzie bardzo dużego żaglowca, zaopatrzonego w trzy maszty, mierzącego co najmniej sto ramieni długości i dwadzieścia szerokości. Z pewnością był to statek, o którym wspominała Krona. Tal słyszał o statkach i łodziach Aeniru, ale ten żeglował po lodzie! Tal nie miał pojęcia, co sprawia, że sunie tak lekko.

Żagle były pełne wiatru i statek mknął szybciej, niż Tal mógłby biec. Przenikliwy dźwięk okazał się świstem takielunku. Chrupanie rozbrzmiewało w rytmie wibracji, jakie Tal czuł przez pokład. Zapewne miało to coś wspólnego ze sposobem poruszania się statku. Tal zgadywał, że żaglowiec jest zbudowany podobnie jak dziwny pojazd Milli, ciągnięty przez - jakże one się nazywały? - wreski. Statek napędzany był wiatrem, ale musiał wspierać się na podobnych długich i wąskich szynach, które wrzynały się w lód.

Po pokładzie kręcili się ludzie, niżsi, wszyscy z naturalnymi cieniami. Okryci byli futrami i skórami, a większość z nich nosiła groźnie wyglądającą broń. Na Tala nie zwracali najmniejszej uwagi, ale on przyglądał im się z szeroko otwartymi oczami. Wyglądali jak ożywione karty do Monsterium, albo ilustracje z książki o potworach. Kusiło go, by dotknąć jednego i przekonać się, czy to, co wisało mu od głowy do samego pasa, naprawdę było włosami. Pulsujący bólem guz na głowie podpowiadał mu, że nie jest to najlepszy pomysł.

Znajome światło pochodziło z czegoś, co musiało być dużym heliorytem, zawieszonym gdzieś bardzo wysoko. Tal przyjrzał mu się przez zmrużone powieki i spostrzegł, że kamień przymocowano do szczytu najwyższego środkowego masztu. Musiał to być potężny helioryt albo zbiór wielu kamieni, ponieważ oświetlał nie tylko pokład, ale także lód wokół statku w promieniu kilkuset ramieni. Jednak mimo jego potęgi działało się z nim coś złego. Tal zauważył, że helioryt migocze zamiast świecić jednolitym mocnym blaskiem. Również barwa światła zmieniała się

odrobinę za każdym razem, gdy statek przechylił się lub natrafił na wybój.

Zielone światło pochodziło z wielu ciasno plecionych kul, takich samych, jakie Tal widział przy saniach. Jedna była całkiem blisko, więc wstał, by przyjrzeć się jej bliżej. Tak jak przypuszczał, wykonano ją z cienkich pasków czegoś, co przypominało kość. Paski spleciono tak, by pozostawić między nimi niewielkie szczeliny. Wewnątrz coś brzęczało i świeciło migotliwym zielonym światłem.

- To ćmy - powiedział jakiś głos. - Świeące ćmy.

Tal obejrzał się. To była ta kobieta, która nazywała siebie Kroną. W rękach trzymała glinianą urnę, która natychmiast przykuła jego uwagę. Niemal mimo woli spojrzął na naczynie i poczuł zawroty głowy. Przez sekundę miał wrażenie, że to on jest w tej urnie i nie może się z niej wydostać. W tym samym momencie zdał sobie sprawę, że jego patrona nie ma nigdzie w pobliżu. Jedno i drugie sprawiło, że nagle zachciało mu się wymiotować.

- Twój cień jest tutaj - powiedziała Korona, spostrzegłszy, że Tal rzuca wokół siebie nerwowe spojrzenia. - Uwolnię go, jeśli postanowimy pozwolić ci żyć.

- Nie ośmielicie się mnie zabić! - zawołał gniewnie Tal. - Jesteście niższymi! Wybrani i ich mrokostwory przyjdą tu i... i zabiją wszystkich na tym statku!

Krona nic nie odpowiedziała, tylko w milczeniu patrzyła mu w oczy. Jej własne oczy świeciły wewnętrznym światłem, które nie było tylko odbiciem. Tal miał uczucie, że wwiercają się w niego, jakby Krona mogła czytać w jego myślach.

Po dłuższej minucie Tal spuścił wzrok.

•

- No... właściwie to nie sędzę, żeby przyszli - powiedział cicho. - Nawet nie wiedzą, gdzie teraz jestem. Zresztą nikt z nas nigdy nie wychodzi z Zamku.

- Ty wyszedłeś - powiedziała Krona. - Opowiedz mi o tym zamku i po co przybyłeś tutaj, na tereny łowieckie Tułaczy.

Tal wytarł nos rękawem. Nadal miał kłopoty z przyjęciem do wiadomości, że ci ludzie - oby naprawdę byli niższymi - mogą decydować o jego życiu i śmierci. Nie sądził jednak, by miał jakiś wybór.

- Mam tu coś dla ciebie - rzuciła Krona, stawiając urnę obok Tala i wyciągając spod futra małą drewnianą flaszkę.

Tal popatrzył na nią podejrzliwie, ale napił się. Już po pierwszym łyku poczuł rozkoszne ciepło, rozlewające się po całym ciele.

Oboje usiedli na pokładzie i Tal zaczął opowiadać, od czasu do czasu popijając z buteleczki. Krona słuchała w milczeniu, z rzadka tylko przerywając, by zadać jakieś pytanie. Tal był zaskoczony własną gadatliwością. Opowiedział Kronie nawet o zniknięciu ojca i chorobie matki. Poskarżył się też, że bardzo boi się o Grefa, który wpadł w tarapaty najpewniej z jego powodu.

Kiedy skończył, spostrzegł ze zdumieniem, że otacza go cały tłum ludzi lodu. Większość udawała całkowicie pochłoniętych jakimś zajęciem, na przykład zwijaniem liny albo wyglądaniem za burzę. Inni po prostu stali lub siedzieli - i słuchali. Nie wyglądali na wrogo nastawionych. Z wyjątkiem Milli, która - co zauważył dopiero teraz - przez cały czas czaiła się na maszcie, gotowa w każ-

dej chwili rzucić się na Tala, gdyby ośmielił się zaatakować Kronę.

- Piękna opowieść - powiedział jeden z ludzi lodu, olbrzymi mężczyzna z ufarbowaną na niebiesko brodą, splecioną w trzy warkoczyki. - Znasz jeszcze jakieś, chłopcze?

Tal obrzucił mężczyznę zdziwionym spojrzeniem. Ten człowiek myślał, że cała historia jest łągarstwem!

- To wszystko prawda! - zaprotestował. - Jestem jednym z wybranych. Przybyłem z Zamku.

Człowiek lodu zachichotał.

- Nie jesteś pierwszym chłopcem, który zgubił swój statek i krąży wśród klanów opowiadając historie. Ale jeśli nie jesteś wędrownym bajaranem, to musisz być złodziejem.

Na słowo złodziej przez tłum ludzi lodu przebiegł niespokojny pomruk. Tal poczuł falę wrogości, skierowaną przeciw sobie. Cokolwiek ci ludzie robili ze złodziejami, nie mogło to być przyjemne.

- Jeśli chłopiec jest złodziejem, Widłobrody, możesz oddać go lodom. Merwin się nim zajmie - powiedziała Krona.

- Nie jestem złodziejem! - zawołał Tal. - Mówię prawdę! Udowodnię to!

Zerwał się na równe nogi i wyciągnął palec w stronę migocącego heliorytu, tuż obok wykrzywionej złością twarzy Milli. Dziewczyna splunęła z wiatrem, dając wyraz swojej opinii o prawdomówności chłopca.

- Wasz helioryt musiał kiedyś świecić jednolitym i czystym blaskiem - powiedział Tal. - Teraz co chwila przygasa i zmienia kolor.

- Każdy głupiec to wie - prychnął Widłobrody. Wyglądał na rozzłoszczonego. Dłonią machinalnie gładził ostrze swojego topora. - Każdy głupiec, który widział kamień, choć niewielu głupców uświadczysz wśród klanów. Oddać go lodom, powiadam!

- Ale ja potrafię go naprawić - wyjąkał Tal. - Wymaga tylko dostrojenia.

- Znakomicie - powiedziała Krona. - Miałam nadzieję, że to powiesz. Jeśli naprawisz nasz helioryt, darujemy ci życie.

- A jeśli nie naprawi, czy pozwolisz mi z nim walczyć? - spytała Milla, zeskakując z masztu i zgrabnie lądując na lekko ugiętych nogach.

Tal odruchowo cofnął się, stając tuż obok urny, w której uwięziony był jego patron.

- Nie - odrzekła Krona lodowatym tonem. - Jeśli mu się nie uda, idzie na lód... do merwina.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tal spodziewał się, że ludzie lodu dostarczą mu uszkodzony helioryt, ale Krona wyjaśniła mu, że kamień zdejmują z masztu tylko wtedy, gdy statek jest zakotwiczony. Potrzebowali światła, by widzieć zagrożenia, jakie mogły pojawić się przed żagłowcem.

Kiedy Tal odmówił wejścia na maszt, Milla z wyraźną rozkoszą opowiedziała mu, czym jest merwin i jakie są szanse na wyjście cało ze spotkania z nim.

- Gdyby merwin mógł wstać - mówiła - byłby dziesięć razy wyższy od ciebie. Ma jeden świecący róg, który wyrasta mu z głowy dokładnie między oczami. Widzisz Krala? Jego miecz to róg małego merwina. Przystają świecić, kiedy zwierzę umrze. Musisz wiedzieć, że merwiny suną po lodzie szybciej, niż biegnie człowiek, bo ich skóra jest śliska i mają cztery olbrzymie płetwy, którymi się odpychają. Najczęściej wbijają róg w swoją ofiarę, a potem raz za razem wałają nią o lód. Większe szanse masz ze mną. Wystarczy powiedzieć. Jeśli chcesz ze mną walczyć, Krona ci pozwoli.

Tal zignorował radę. Nie pojmował, czemu Milla tak gorąco pragnęła z nim walczyć, ale wiedział, że Krona będzie go chronić... jeśli zdoła naprawić helioryt.

- Będzie mi potrzebny mój cień patron - powiedział.
- Pomoże mi wspiąć się na maszt i nastroić helioryt.

Krona jeszcze raz przeszła go swym gorejącym wzrokiem.

- Nie.

Tal westchnął. Tak naprawdę patron nie był mu niezbędny, ale bez niego czuł się bardzo dziwnie. Był skołowany i miał lekkie mdłości. Wspinanie się na maszt w towarzystwie patrona byłoby dziesięć razy łatwiejsze, nawet gdyby ten zachowywał się jak zwyczajny cień.

- Milla pomoże ci wejść na maszt - powiedziała Krona.

- Nic z tego! - zawołała Milla. - To łgarz i złodziej! Nie wierzysz chyba w tę historyjkę o tysiącach świateł i tym całym Zamku!

Krona powoli odwróciła głowę, by spojrzeć na dziewczynę.

- Pragniesz zostać Dziewicą Tarczy, Milla, a nie słuchasz poleceń?

To była oczywista groźba. Tal nie wiedział, kim są Dziewice Tarczy, ale Milla z pewnością bardzo pragnęła zostać jedną z nich, a Krona miała moc, by do tego nie dopuścić.

Milla odwróciła się do Tala z żądzą mordu wypisaną na twarzy.

- Dobra! Włóż na maszt, złodzieju!

- Nazywam się Tal Grała-Rerem - zauważył Tal. - Pozwalam ci mówić do mnie Tal i nawet gdybym był złodziejem, nie macie niczego, co chciałbym ukraść!

Przynajmniej nie był takim złodziejem, za którego mieli go ludzie lodu.

- Tal, Smal, Bal, Wal, czy jak tam się nazywasz, nie sądzę, byś potrafił zrobić użytek z liny - powiedziała Milla. - Będziemy musieli wspinać się po maszcie.

Wskazała dłonią na pary długich gwoździ, sterczące z masztu jedna nad drugą w odstępach jednego ramienia. Tal postawił stopę na najniższym, badając jego wytrzymałość. Potem sięgnął dłonią po gwoździe nad głową i zaczął się wspinać.

Maszt wydawał się pojedynczą kością jakiegoś zwierzęcia, ale Tal nie mógł wyobrazić sobie potwora, którego kręgosłup miałyby czterdzieści ramieni długości. Uchwyty, po których się wspinał, nie były wcale gwoździami, ale pozostałościami po mniejszych kościach, odpiłowanych od masztu. Kiedyś musiały wyglądać jak zakrzywione ości, wyrastające z kręgosłupa ryby.

- Pośpiesz się! - zawołała Milla z dołu.

Tal zignorował ją. Maszt chwiał się, a statek i lód były bardzo daleko. Z jakiegoś dziwnego powodu Tal bał się bardziej niż podczas wspinaczki na setki razy wyższą Czerwoną Wieżę. Być może dlatego, że nie miał przy sobie patrona, który czuwałby nad jego bezpieczeństwem.

Milla nękała go przez całą drogę na szczyt, miotając wyzwiska, naśmiewając się i próbując napędzić mu stracha. Tal nie zwracał na nią uwagi, koncentrując się wyłącznie na wspinaczce. Wreszcie dotarł do heliorytu. Przytwierdzono go do masztu za pomocą czegoś, co wyglądało na długie, łukowato zakrzywione zęby zatopione w kości. Kamień świecił tak jasno, że Tal miał kłopoty

z patrzeniem nań bez patrona, który, gdyby tu był, natychmiast zasłoniłby mu oczy

Milla zatrzymała się kilka ramieni poniżej i nareszcie zamilkła, co Tal powitał z ogromną ulgą. Dziewczyna pochyliła głowę. Najwyraźniej z tak bliska nie mogła znieść oślepiającego blasku kamienia.

Tal rozejrzał się i nagle zdało mu się, że to on tkwi nieruchomo na szczycie masztu, a statek i łód poniżej kołyszą się na boki niczym gigantyczne wahadło. Z każdym ruchem rozkołysanego świata musiał walczyć z obawą, że za chwilę wystrzeli w przestrzeń jak pocisk. Co gorsza, musiał oderwać jedną dłoń od masztu, by móc dotknąć heliorytu. Kamień był bardzo potężny, ale i bardzo stary. Każdy helioryt z czasem wyczerpywał się i wtedy zabierano go na jedną wież, by odnowić ponad Sferą.

Znalazłszy pewny uchwyt dla lewej dłoni, Tal wyciągnął prawą przed siebie i położył ją na klejnocie. Natychmiast poczuł kłębiące się wewnątrz strumienie mocy. Tak jak uczono go w lektorium, zamknął oczy i skupił na heliorycie wszystkie myśli. Zgodnie z jego przypuszczeniami kamień był w opłakanym stanie. Moce, jakie w nim pozostały, działały w dużej mierze przeciwko sobie, zamiast zasilać się nawzajem. Należało wyrównać i poukładać strumienie energii, przywrócić im harmonię.

Tal ostrożnie oderwał dłoń od dużego heliorytu i sięgnął za koszulę po własny kamień. Teraz musiał skoncentrować się na nim, by odnaleźć właściwy układ strumieni energii i dokonać projekcji na helioryt ludzi lodu. Zadania nie ułatwiał lodowaty wiatr, rozkołysany maszt i żołądek Tala, który nagle uznał, że mimo wszystko nie lubi

rozgrzewającego kordiału Krony. Udało się jednak. Promień czystego światła wytrysnął z heliorytu Tala, by wniknąć w kamień ludzi lodu.

- Udało się! - zawołał triumfalnie Tal.

Helioryt na maszcie promieniał jasnym pewnym blaskiem... i nagle zgasł, podobnie jak helioryt Tala, pograżając wszystko w całkowitej ciemności, jeśli nie liczyć wątlej poświaty, sączącej się z owadzych latarni na pokładzie.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Z pokładu podniósł się straszliwy zwierzęcy ryk wściekłości. Tal nigdy dotąd nie słyszał czegoś takiego. Spojrzał w dół, ale nie mógł nic dojrzeć. Nawet Millę przesłonił nieprzenikniony mrok. Tal słyszał jednak, co się dzieje.

Ludzie lodu, którzy czekali na pokładzie, rzucili się do want i lin, by zabić chłopca, który zniszczył helioryt - ich najcenniejszy skarb. Jedyna nadzieja Tala leżała w ponownym aktywowaniu kamienia.

Złapał własny helioryt, nagle zapominając o strachu przed upadkiem. Skoncentrował się na ciemnym kamieniu, rozpaczliwie poszukując w nim śladów energii. Czuł, że całe jego ciało i umysł podporządkowuje się jednemu celowi, że każda cząstka jego mocy skupia się na tym jednym małym przedmiocie.

Energia wciąż tam była, dostrzegał ją, ale z jakiegoś powodu wycofała się w głąb klejnotu. Tal musiał sprowadzić ją z powrotem, zanim Milla zrzuci go z masztu. Dokładnie kiedy to pomyślał, poczuł dłoń dziewczyny, zaciskającą się na jego kostce.

„Światło rodzi światło” - Tal usłyszał głos ojca, dobiegający z głębin pamięci. Była to jedna z pierwszych nauk, jakie wpajano wszystkim wybranym. Tal po raz pierwszy usłyszał te słowa siedząc na kolanach Rerema. Miał wówczas tyle lat, ile teraz miała Kusi.

Światło rodzi światło.

Tyle że Tal nie miał światła. Milla szarpała go za nogę, usiłując oderwać ją od masztu. Musiał coś zrobić i to zaraz! Musiał zdobyć trochę światła, by reaktywować helioryty! Milla zdołała strącić jego stopę z podpory i Tal usłyszał chrapliwy okrzyk triumfu. Z całej siły machnął nogą, próbując uwolnić ją z uścisku, ale to tylko pogorszyło jego położenie. Pośliznął się i łapiąc równowagę gwałtownie wyciągnął rękę, zrywając łańcuszek, który miał na szyi. Wciąż miał swój helioryt, ale odtąd mógł trzymać się masztu tylko jedną ręką.

„Szybki jak iskra heliorytu” - w głowie Tala odezwał się kolejny głos: głos dziadka Ebbitta. „Szybki jak iskra heliorytu”.

- Świeć! - wrzasnął Tal.

Balansując na jednej nodze, z całej siły uderzył jednym heliorytem w drugi. Z miejsca, gdzie kamienie się zetknęły, wytrysnęła olbrzymia iskra i nagle mały helioryt rozbłysnął wspaniałym jasnym światłem. Krótką chwilę później rozjarzył się także kamień ludzi lodu. Świecił jaśniej niż przedtem, nie przygasał i zachowywał niezmienną barwę.

Milla znieruchomiała, a potem bez słowa postawiła stopę Tala na poprzeczce i zaczęła schodzić na dół. Tal rozejrzał się i ujrzał cały tłum ludzi lodu, zjeżdżających na

linach i zeskakujących z want na pokład. Przełknął ślinę i wziął kilka głębokich wdechów.

- Dzięki ci, ojcie - szepnął wiatrowi do ucha. - Dzięki ci, dziadku Ebbicie.

Potem niespiesznie ruszył w dół. Niewiele brakowało!

Na pokładzie czekała na niego Krona. Tuż obok niej stał Widłobrody - tym razem topór wisiał w skórzanej uprzęży na jego plecach.

- Dotrzymałeś słowa - powiedziała kobieta. - Odwdzięczymy ci się tym samym. Nie oddamy cię merwinowi.

Tal skinął głową i wyjaśnił, choć wcale nie musiał:

- Naprawiłem go tylko tymczasowo. Ten helioryt jest stary. Gdy nadejdzie jego czas, zgaśnie. Nie mogę nic na to poradzić. Nikt nie może.

- Tak - odparła Krona. - Wiemy, że helioryty umierają, tak jak wszystko nad i pod lodami. Ale teraz pomogłeś nam.

- Dowiodłeś, że fałszywie cię oskarżyłem - dodał Widłobrody, po czym postąpił krok naprzód i zawołał: - Ja, Grim Widłobrody, mówię to, by wszyscy słyszeli! Mówiłeś prawdę, Tal, a ja się myliłem. By naprawić swój błąd... jestem gotów usynowić cię i jako syna z mego rodu przyjąć do klanu Tułaczy.

Tal wytrzeszczył oczy. Oczywiście ci ludzie nie byli tak naprawdę niższymi, więc oferta być może nie była kompletną zniewagą. „Ale ja nie chcę, by on mnie usynowił - wołało coś w jego duszy - muszę wracać do domu!”

Już miał odpowiedzieć, gdy ujrzał zwięzające się oczy Krony najwyraźniej posyłające mu nieme ostrzeżenie. To skłoniło go do myślenia. Wśród tych dzikusów Grim Wi-

dłobrody wyglądał na kogoś znacznego. Był też olbrzymi i bardzo groźny. Nie byłoby mądrze narażać mu się bra-kiem szacunku, nawet jeśli nie był wybranym.

- Dziękuję ci, Grimie Widłobrody - powiedział Tal, kłaniając się i unosząc helioryt, ale pozwalając mu tylko na krótkie błysnięcie. - Wiedz jednak, że mam już rodzinę w Zamku i powinienem wrócić tam jak najszybciej.

Widłobrody skinął głową. Wyglądał na zadowolonego, tak jakby złożył swoją ofertę tylko dlatego, że wymagało tego dobre wychowanie. Tal był zaskoczony. Nie przypuszczał, że ludzie lodu mogą kierować się czymś takim jak maniery.

Krona także kiwnęła głową.

- Mądrze powiedziane, Tal - pochwaliła. - Teraz chodźmy na dół. Posilimy się mięsem selskina, napijemy witski i porozmawiamy o tym, co kryje twoja przyszłość. Milla, pójdziesz z nami.

Krona podniosła urnę z cieniem patronem w środku i poprowadziła Tala do otwartej klapy w pokładzie. Tal zdziwił się, widząc, że pod pokładem jest jedno przestronne pomieszczenie. Wszyscy Tułacze mieszkali tu razem. Światła dostarczały wysokie rury z przezroczystego materiału, wypełnione wodą i pływającymi w niej galaretowatymi bryłami, jarzącymi się żółtawą poświatą. Przechodząc obok jednej z rur, Tal postukał w nią palcem. Kilka świecących brył skupiło się wokół punktu, w który uderzył. Były to jakieś morskie stworzenia.

- To pełgatki - powiedziała Krona. - Trudno je złapać pod lodem.

Prowadziła go między ludźmi lodu, którzy poukładali się do snu bezpośrednio na zakrzywionych wręgach statku, owinięci tylko w futra. Tal uważał, by nie nadepnąć na któregoś z nich, zwłaszcza że każdy trzymał dłoń na jakiejś broni, a wielu unosiło jedną powiekę, kiedy przechodził obok.

W miarę przyzwyczajania się do półmroku Tal zaczął dostrzegać coraz więcej szczegółów. Oprócz wielkiego pomieszczenia pod pokładem było kilka mniejszych, utworzonych przez cienkie przepierzenia. Jednak nawet tam funkcję drzwi pełniły ciężkie zasłony z futra i niewyprawionej skóry.

Krona podeszła do jednej z zasłon i odciągnęła ją na bok, odsłaniając niewielką kajutę. Na środku stał niski stół, otoczony stosami poduszek o rozmaitych kształtach i rozmiarach.

- Usiądź - powiedziała Krona, stawiając urnę na stole.

Tal usiadł obok i przesunął palec po gładkiej ścianie naczynia, jakby chciał poczuć obecność patrona przez warstwę wypalanej gliny. Milla także usiadła, tak daleko od Tala, jak tylko się dało. Krona wyszła z kajuty, pozostawiając ich samych.

Przez pewien czas Tal starał się znieść nienawistne spojrzenie dziewczyny, ale po kilku minutach, w ciągu których nie mrugnęła ani razu, zmęczył się i odwrócił wzrok. Ryknęła pogardliwym rechotem. Rozzłościło go to, ale i tak nie mógł nic na to poradzić. Wiedział, że Milla prowokuje go, by zaatakował ją swoim heliorytem.

Szukała pretekstu do walki.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Napięcie między Talem a Millą wciąż rosło, ale nim którekolwiek z nich zdążyło stracić resztki cierpliwości i rzucić się do ataku, do kajuty wróciła Krona. W rękach trzymała misę, której zawartość parowała i wydzielala odrażającą woń. Krona postawiła misę na stole i wręczyła Talowi przedmiot, będący chyba dwuzębnym widelcem sporządzonym z kości.

- Mięso selskina - oznajmiła kobieta. - To życie naszego ludu. Dokąd pójdą selskiny tam idziemy i my, polując na stare, słabe i chore zwierzęta. Mięso selskinów napełnia nasze żołądki, ich skóra daje nam ubrania i żagle, ich kości narzędzia i broń, z ich trzewi robimy struny do naszych harf... Smakuje lepiej, niż pachnie - dodała, popychając misę w stronę Tala. Musiała właściwie odczytać jego minę.

Tal z ociąganiem nadział na widelec kawałek mięsa i włożył sobie do ust. Gdy tylko go skosztował, poczuł wilczy apetyt i zaczął łapczywie jeść. Mięso było smaczne, głód okazał się najlepszą przyprawą.

Krona znów wyszła z kajuty, ale Milla została i nie spuszczała Tala z oczu. Jeśli w ogóle mrugała, robiła to

wtedy, kiedy nie patrzył, zajęty wyławianiem z misy kawałków mięsa. Sama nie jadła.

- Czemu się nie częstujesz? - spytał, zaspokoiwszy pierwszy głód. Nieśmiało popchnął misę w stronę dziewczyny, jakby proponował zawieszenie broni.

- Dziewica Tarczy nie je w obecności więźnia - odparła sztywno Milla. - Dziewica Tarczy nie śpi w obecności więźnia. Dziewica Tarczy...

- Tal nie jest więźniem - przerwała jej Krona, która właśnie wróciła do kajuty. Jedną ręką przytrzymywała kotarę, by wpuścić kogoś, kogo przyprowadziła ze sobą.

Do kajuty weszła bardzo stara kobieta: przygarbiona, pomarszczona i drobna, niewiele większa od Grefa. Spojrzała na Tala i chłopiec spostrzegł, że jej oczy są mlecznobiałe i całkiem pozbawione źrenic. Kobieta musiała być więc niewidoma.

Milla zareagowała na jej pojawienie się z niezwykłą gwałtownością. Zerwała się na równe nogi i wyciągnęła przed siebie pięści dociśnięte jedna do drugiej w geście pozdrowienia.

- Matko Krono! - zawołała.

Tal również wstał, uznawszy, że wypada tak postąpić. Z okrzyku Milli wywnioskował, że ta niewidoma staruszka jest kimś jeszcze ważniejszym niż Krona.

- To jest Matka Krona, bardzo stara i bardzo mądra - powiedziała Krona, prowadząc staruszkę do Tala. - Przyszła tu, by spojrzeć w twoją przyszłość i pomóc nam zdecydować, co powinniśmy z tobą uczynić.

Stara kobieta nie odezwała się. Ujęła Tala za rękę i z zdecydowanym ruchem odwróciła jego dłoń w

wnętrzną stroną ku górze. Następnie długim żółtym paznokciem zaczęła wodzić po liniach znaczących jego skórę między nadgarstkiem a palcami.

Tał pozwalał na to tylko dlatego, że Milla była tuż obok. Wiedział, że zrobi mu coś złego, jeśli ośmieli się wyrwać ręce. Czuł się bardzo dziwnie, kiedy ten stuletni pazur łaskotał jego dłonie. Nie mógł oderwać od niego wzroku. Był długi, pożółkły i przypominał szpon jakiegoś drapieżnika.

Matka Krona uniosła dłonie Tala do swojej twarzy i przycisnęła jego palce do niewidzących mlecznych oczu. Tal drgnął. Na jego twarzy musiał pojawić się wyraz obrzydzenia, bo Milla nagle postąpiła krok naprzód, krzywiąc się ze złością. Nie wiadomo, co zamierzała uczynić, bo w tejże chwili Matka Krona przemówiła, a na dźwięk jej głosu wszyscy zastygli w bezruchu. Nie był donośny, ale bez trudu wnikał do umysłu Tala, tłumiąc wszystkie myśli. Nawet gdy po chwili głos ścichł jeszcze bardziej, Tal uświadomił sobie, że nie słyszy nic innego. Wszystkie dźwięki - skrzywienie statku, wiatr, głosy ludzi lodu - odpłynęły w dal.

Istniał tylko głos Matki Krony.

*Daleko upadłeś
Lecz niezbyt daleko*

*Długa wędrówka przed tobą
Lecz niezbyt długa*

*Zamek twym domem
Lecz domem on nie jest*

*Cienie twymi przyjaciółmi
Lecz przyjazne nie są*

*Strażniczka Tarczy przy tobie stoi
Lecz nie za tobą*

*Światło cię ogrzewa
Lecz rodzi cienie*

*Krwia jesteś związany
Lecz więzi tej nie ma*

*Zło czyha na ciebie
Lecz nie jest cię głodne*

*Ciemność cię skrywa
Lecz wzroku nie odbiera*

*Kamienie wypuszczasz z rąk
Lecz wkładasz w ręce innych*

Głos ucichł. Oszołomiony Tal usiadł, wciąż słysząc w głowie echo niesamowitego szeptu. Ledwie pamiętał, by pożegnać staruszkę, którą tymczasem Krona wypro-wadziła za kotarę i przekazała w ręce opiekunów.

- Wszystko jasne - powiedziała Krona, opuszczając kotarę. Uśmiechała się po raz pierwszy, odkąd Tal ją wi-dział. Miała bardzo białe zęby

- Co jest jasne? - wymamrotał Tal. Było mu niedobrze i czuł się otepiał, jakby dopiero się obudził.

- Pomożemy ci dostać się do Zamku, a ty zdobędziesz dla nas nowy helioryt.

Tal otrzeźwiał w mgnieniu oka.

- Co?!

- Matka Krona wszystko przepowiedziała - powiedziała Krona. - Poślemy kogoś z tobą, by pomógł ci na łodzie. Kiedy dotrzesz do Zamku, w zamian dasz jej helioryt.

- Jej? - spytał podejrzliwie Tal.

- Milli, oczywiście - odrzekła Krona, znów się uśmiechając. - To będzie jej Zadanie przed pasowaniem na Dziewicę Tarczy. Musi doprowadzić cię bezpiecznie do Góry Światła i do twojego Zamku, który na niej stoi.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Co?! - wrzasnęła Milla. - Jak mogłaś mi to zrobić?!

- Dziewica Tarczy stawia czoło swoim błędom - wyrecytowała Krona z uśmiechem. - Poza tym to największe Zadanie, jakie kiedykolwiek wyznaczyłam - dotrzeć do Góry Światła i przynieść stamtąd helioryt...

- Przez cały czas wiedziałas, gdzie jest Zamek? - przerwał jej Tal. - Wiedziałas, że mówię prawdę?

- Tak - przytaknęła Krona. - Krony wiedzą o jego istnieniu, ponieważ twój Zamek jest jedynym stałym źródłem światła na niebie. Jednakże nie wolno nam się do niego zbliżać, gdyż wiemy, że tam, gdzie rządzą cienie, mieszka wielkie zło.

- To nieprawda! - zaprotestował Tal. - Mrokostwory służą wybranym. To słudzy, tak jak mój cień patron, którego tu uwięziłaś. To wszystko.

- Służą wam nie bardziej niż noworodek selskina merwinowi - powiedziała twardo Krona. Nie uśmiechała się już. - Wiemy, czym są owe cienie. Nasi przodkowie walczyli z nimi i stworzyli ciemność, która nas chroni.

- Wasi przodkowie! - zdenerwował się Tal. - Wasi przodkowie nie mieli nic wspólnego ze Sferą. Zbudowali ją wybrani, ponieważ słońce jest zbyt potężne...

- Nie odzywaj się do Krony tym tonem! - ostrzegła go Milla, potrząsając zaciśniętą pięścią.

- Dosyć! - krzyknęła Krona. - Musimy zaprzysiąc was przed Zadaniem. Tal, daj mi rękę.

Tal powoli wyciągnął rękę. Krona ujęła ją i odsunęła futrzany rękaw, odsłaniając nadgarstek. Tal czekał. Spodziewał się, że kobieta zacznie przepowiadać przyszłość, albo mówić coś w taki sposób, jak wcześniej Matka Krona. Jakże się zdziwił, gdy w jej dłoni błysnął duży kieł, którym błyskawicznie przeciągnęła po jego przegubie.

- Ach! - krzyknął, gwałtownie cofając rękę.

Z rany pociekła strużka krwi. Tal spostrzegł, że Krona zdążyła zrobić trzy nacięcia, układające się w dziwny trójkątny znak.

- Słabeusz - skomentowała Milla i odsłoniła własny nadgarstek, naznaczony podobnym wzorem, tyle że zaoblonym.

Krona wykonała cięcia w pobliżu starych blizn, a Milla beznamiętnie patrzyła na płynącą krew.

- Zaciśnijcie pięści, by krew cały czas płynęła, i chodźcie za mną - poleciła Krona.

- By krew płynęła? - zdziwił się Tal.

Ci ludzie lodu byli jeszcze bardziej szaleni, niż przypuszczał. Zaciśnął jednak pięść i popatrzył na toczące się po skórze czerwone krople. Nacięcia nie były głębokie. Krona musiała mieć sporą wprawę. Tal wzdrygnął się na myśl, co mogłoby się stać, gdyby nie była aż tak zręczna.

Wyszli z powrotem na pokład. Helioryt na maszcie wciąż świecił mocnym blaskiem, co Tal stwierdził z dużą ulgą. Tym razem jednak padał gęsty wilgotny śnieg i widoczność była bardzo słaba. Idąc za Kroną do masztu, Tal odruchowo chował głowę w ramiona.

Dotarłszy do celu, Krona ujęła Tala za rękę i jego zraniem nadgarstkiem potarła maszt, a potem pokład. Zmieniony kolor kości w tych miejscach świadczył o tym, że statek widział już niejedną taką ceremonię. Milla uczyniła to samo.

- Powtarzajcie za mną - powiedziała Krona, jeszcze raz przesywając Tala swoim dziwnym pałającym spojrzeniem.

Tal skinął głową i odruchowo zlizął z wargi płatek śniegu.

- Oddaję moją krew kości, kości tego statku - powiedziała Krona.

- Oddaję moją krew kości, kości tego statku - jak echo powtórzyli Tal i Milla.

Krona jeszcze raz potarła maszt i pokład nadgarstkiem Tala.

- Oddaję moją krew klanowi, klanowi mojej krwi,

- Oddaję moją krew klanowi, klanowi mojej krwi - wyrecytował posłusznie Tal.

Krona ujęła Miłę za rękę i docisnęła jej nadgarstek do nadgarstka Tala tak, by zmieszała się ich krew. Dziewczyna odwróciła wzrok.

- Oddaję moją krew wiatrowi. Oddaję moją krew lodom - powiedziała Krona, potrząsając uniesioną ręką Tala.

Kropla krwi oderwała się od rany i porwana wirem powietrza znikła za burzą. Milla wstrząsnęła ręką w taki sam sposób i przez osobliwy kaprys wiatru dwie krople spotkały się. To jednak dostrzegły tylko błyszczące oczy Krony.

- Na kość tego statku i krew mego klanu, zdobędę helioryt dla klanu Tułaczy. Niech zniszczy mnie wichur i zamrozi lód, jeśli zawiodę - powiedziała Krona.

Tal i Milla powtórzyli przysięgę. Krona przez cały czas mocno ścisnęła ich ręce.

- Odtąd jesteście związani w waszym Zadaniu - w głosie Krony pobrzmiwała nutka satysfakcji. - Teraz, Tal, jesteś prawie człowiekiem lodu.

Milla wymamrotała coś, co na szczęście zginęło w szumie wiatru. Tal popatrzył na nią i nie dostrzegł żadnych przyjaznych oznak. Wiązała ich przysięga krwi, ale Tal nadal nie ufał dziewczynie, a ona szczerze go nienawidziła.

- Milla, pokaż Talowi, gdzie może się wyspać, a potem przygotuj się do drogi. Zamek leży poza stadem selskinów, ale jest szczelina. Będziecie musieli przebyć ją szybko.

- Saniami? - spytała sztywno Milla. - Ten dzieciak na pewno nie wie, co to narty albo łyżwy.

- Dostaniecie sanie i sześć wresków - powiedziała Krona. - Jorntil przygotowuje wam zaprzęg.

- Zaczekajcie! - zaniepokoił się Tal. - Czy mam rozumieć, że idziemy tylko we dwoje? Myślałem, że statek...

- Nie - przerwała Krona. - Podążamy za selskinami, które wyznaczają naszą drogę. To nasze życie i nie możemy go zmieniać, chyba że nie będzie innego wyjścia. Mil-

la będzie cię chronić. Jest doświadczonym łowcą, jednym z najlepszych na tych lodach. Waszym najgroźniejszym wrogiem będzie czas, ponieważ wędrujące selskiny gromadzą się w wielkie stada. Nazywamy to Żywym Morzem. Szczeliny między stadami są bardzo wąskie, ale jestem pewna, że uda się wam przedostać.

Krona odwróciła się i odeszła, nim Tal zdążył zadać jej następne pytanie. Milla wpatrywała się w swój nadgarsitek. Tal spojrzął na swój i spostrzegł, że krew już zakrzepła. Znak oczywiście pozostał.

- Chodź za mną - rzuciła Milla i nie czekając, ruszyła w stronę kłapy.

Tal poszedł za dziewczyną, ślizgając się niezgrabnie na zaśnieżonym pokładzie. Krona kazała mu się wyspać, ale wątpił, czy w ogóle uda mu się zasnąć.

Przy kłapie spojrzął jeszcze raz na helioryt ludzi lodu, ledwie widoczny zza tumanów śniegu. Machinalnie sięgnął po własny kamień i dopiero wtedy w pełni zdał sobie sprawę, w jak poważnych znalazł się tarapatkach. Był bardzo daleko od Zamku i miał dokładnie dwa miesiące na zdobycie nowego helioru. Jeśli tego nie dokona, straci status wybranego, a wraz z nim całą swoją przyszłość, całe życie. Jego matka - na myśl o niej, przykutej chorobą do łóżka, ścisnęło mu się gardło - również potrzebowała tego kamienia, tak samo jak Gref i Kusi. Ojciec, jeśli jeszcze żył, na pewno ufał, że Tal zaopiekuje się rodziną.

Przed chwilą złożył coś w rodzaju przysięgi, której nie zamierzał dotrzymać, ale musiał traktować ją poważnie. Pomieszał swoją krew z krwią... nie wiedział już z czyją, bo z pewnością nie miał do czynienia z niższy-

mi, ale na pewno z krwią szalonej dziewczyny, mającej tylko naturalny cień. Tylko przywiązanie do tradycji powstrzymywało przed zabiciem go. Kiedy obudzi się następnego ranka, będzie musiał porzucić nawet te skromne wygody, jakimi cieszył się na statku, i ruszyć na wędrowkę w towarzystwie owej dzikuski, by przekroczyć Żywe Morze zwierząt. To było stanowczo zbyt wiele. Tal próbował powstrzymać łzy, cisnące mu się do oczu. Powtarzał sobie, że to tylko wiatr, ale wiedział, że to nieprawda.

Wtedy znów ujrzał Kronę. Stała przy ostatnim maszcie, a kiedy spostrzegła, że Tal na nią patrzy, rzuciła coś w jego stronę. W pierwszym odruchu schylił się, ale pocisk nie był wymierzony w niego. Na pokład spadło coś niedużego i czarnego, co natychmiast potoczyło się pod jego nogi. Cień patron uczeplił się stóp Tala i rozpląszczył na schodach tuż za nim, przybierając kształt sylwetki człowieka. Wyglądał zupełnie jak naturalny cień. By go zobaczyć, Tal musiał obejrzeć się przez ramię. Z piersi chłopca wyrwało się westchnienie ulgi.

- Rozmawiałam z tym - powiedziała Krona donośnym głosem, by Tal mógł ją słyszeć po drugiej stronie pokładu. - Nikt nie powinien pozostawać bez swojego cienia. Dopóki jednak podróżujesz z ludźmi lodu, musi pozostać tylko cieniem. Wśród lodów nie ma miejsca na zabawy.

Tal uśmiechnął się do Krony, a potem odwrócił i zszedł pod pokład. Patron sunął przed nim, taki sam jak cienie ludzi lodu. Tal nie miał pojęcia, w jaki sposób Krona zdołała odebrać mu moc zmieniania kształtu i konsy-

stencji swojego ciała, ale nie obchodziło go to. Był szczęśliwy, mając go z powrotem.

- Obudzę cię - powiedziała Milla, wskazując mu stos futer między dwoma chrapiącymi chłopcami mniej więcej w jego wieku. Nagle zawahała się, po czym zaczęła mówić pozornie obojętnym tonem. - Nadał pragnę cię zabić, ale wiem, że nie mogę. Nie teraz, kiedy przysięgliśmy wypełnić Zadanie. Wśród lodów będę cię chronić. Dotrzemy do tego twojego Zamku i zdobędziemy helioryt.

„Dwa helioryty” - pomyślał Tal, zagrzebując się w futrach. Wszystkie jego kłopoty zaczęły się, kiedy postanowił zdobyć kamień. Co się stanie teraz, kiedy potrzebował aż dwóch?

Obok niego cień patron przemienił się nagle w miniaturową wersję Sharrakora mrokosmoka. Milla dostrzegła ruch kątem oka i gwałtownie obróciła głowę w tamtą stronę.

Jednak w tej chwili patron był już tylko zwykłym cieniem, a Tal spał snem sprawiedliwego.



ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Talowi wydawało się, że Milla obudziła go po zaledwie godzinie lub dwóch, ale helioryt pokazywał, że upłynęło ich aż siedem. Dziewczyna bez słowa rzuciła mu na brzuch stos ciężkich futer. Zabolało.

Oczywiście futra były jego nowym ubraniem. Ucieszył się, bo choć helioryt mógł zapewnić mu ciepło, po jego nieoczekiwanym zgaśnięciu poprzedniego dnia wolał nie czerpać zeń mocy, jeśli nie było to konieczne.

Ubranie składało się z trzech oddzielnych części. Tal musiał poeksperymentować przez dłuższą chwilę, nim zorientował się, że najpierw należy włożyć stosunkowo lekkie, sięgające bioder futro ze zwisającymi tasiemkami. Potem wciągało się ciężkie futrzane ochraniacze na nogi, przywiązywane do owych tasiemek, a na to wszystko sięgający kolan kozuch. Po wypróbowaniu kilku różnych układów Tal nadal nie był pewien, czy wierzchniego futra nie włożył przypadkiem odwrotnie. Zresztą nie wydawało mu się, by ludzie lodu zwracali szczególną uwagę na modę i szyk. W porównaniu z wybranymi byli prawdziwymi dzikusami. Tal przy-

stał na futra tylko dlatego, że nie miał heliorytu pełnej mocy.

Milla wróciła, kiedy Tal borykał się z ciężkimi rękawicami ze skóry selskina. Prychnęła pogardliwie i pomogła mu przywiązać je do rękawów kurty tak, by ich nie zgubił i by zawsze były gotowe do włożenia.

- Ruszamy, kiedy tylko tylny patrol doniesie o szczelinie w Żywym Morzu - oznajmiła zimno dziewczyna. - Idziemy.

Tal poszedł za nią, a patron za Talem, pokornie utrzymując postać zwyczajnego cienia. By złudzenie było pełne, patron poszerzył się nieco, dopasowując się do powiększonych rozmiarów swojego pana. Tal czuł się dziwnie pod tyloma warstwami ubioru, jakby nagle potwornie utył. Był przynajmniej o ramień szerszy niż zwykle. Mimo to szeroki skórzany pas, którym spiął kurtę, najwyraźniej był przeznaczony dla kogoś dwakroć grubszego. Zsuwał się, choć Tal przeciągnął go przez kościaną sprzączkę tak daleko, jak tylko mógł. Wkrótce pojął, że tak Milla wyobrażała sobie dobry żart. Widać nie życzyła sobie, by było mu za wygodnie.

Tal wygramolił się na jasno oświetlony pokład i poczuł, że coś się zmieniło. Początkowo nie wiedział co i dopiero gdy przestał mrużyć oczy porażone blaskiem heliorytu na maszcie, spostrzegł, że statek się nie porusza. Żagle były zwinięte, a z rufy i dziobu biegły grube liny kotwiczne, niknące w mroku poza kręgiem światła.

Wiatr wciąż grał na takielunku i smagał twarze swym lodowatym oddechem. Tal założył kościaną maskę, którą przyniosła mu Milla. Nie pasowała zbyt dobrze: otwory

na oczy były za bardzo rozsunięte. Tal mocował się z nią przez dłuższą chwilę, po czym dał spokój i zaczął pośpiesznie wkładać rękawice. Jego paznokcie robiły się sine.

Milla podeszła do krawędzi pokładu, zgrabnie przesadziła reling i znikła za burzą. Tal powlókł się za nią, przytrzymując swój pas. Miał nadzieję, że nie wyskoczyła po prostu na lód, ponieważ pokład wznosił się na wysokości co najmniej ośmiu ramieni. Może ludzie lodu mogli skakać z tak wysoka, ale Tal wiedział, że on nie da rady.

Nie skoczyła. Na burcie wisiała drabinka, z kręgosłupa jakiegoś zwierzęcia, tym razem z całkiem długimi bocznymi odrostami - żebrami. Tal zszedł na dół znacznie wolniej, niż zrobiłby to bez tych wszystkich futer.

Na lodzie kręciło się już sporo ludzi lodu. Ośmiu wracało właśnie z polowania. Wlekli za sobą olbrzymi kawał skrwawionego mięsa. Był tak wielki, że Tal nie mógł wyobrazić sobie zwierzęcia, z którego go wycięto. Może to selskin?

Inny człowiek lodu trzymał wodze pierwszego wreska w rzędzie sześciu zaprzężonych do pojazdu bez kół. Tal wiedział już, że to sanie. Mężczyzną przy saniach musiał być Jorntil, który, jak powiedziała Krona, miał przygotować dla nich zaprzęg. Na widok Tala i Milli Jorntil przysunął pięść do dłoni, w której trzymał wodze, w raczej niedbałym geście powitania. Milla odpowiedziała uderzając pięścią o pięść tak mocno, że Tal odruchowo zmrużył oczy. Teraz on uniósł helioryt i posłał mężczyźnie słaby powitalny błysk. Jorntil szarpnął się i odwrócił wzrok.

- Przepraszam - powiedział Tal. - Chciałem tylko...
- Właż do sań! - wysyczała Milla.

Ale Jorntil tylko zamrugał oczami, roześmiał się i rzucał wreszcie kawałek czegoś, co wyglądało na mięso selskina. To przypomniało Talowi, że nie jadł jeszcze śniadania, albo czegośkolwiek, co ci dziwni ludzie jadaliby o poranku. Nie chciał jednak mówić o tym Milli, by nie dać jej następnej okazji do natrząsania się z niego i wytykania mu słabości. Nie poskarżył się więc, tylko w milczeniu wgramolił się do sań, które zakołysały się niebezpiecznie, kiedy spróbował wstać.

Tal był zaskoczony niezwykle delikatną i lekką konstrukcją pojazdu. Kosz, w którym stał, upleciony był z bardzo cienkich kościanych wstęg, i przy najmniejszym ruchu straszliwie skrzypiał. Nie wydawał się na tyle solidny, by unieść jego samego, nie mówiąc już o dwóch osobach. Co gorsza, kosz przymocowano do płóz w sposób budzący poważne wątpliwości. „Jak dziecięca kołyska” - pomyślał Tal, niespokojnie zerkając w dół. Długie płozy, przypominające ostrza mieczy, były połączone ze sobą w przedniej i tylnej części za pomocą dwóch wysokich poprzeczek. Pleciony kosz wisiał między nimi, podtrzymywany przez sześć lub siedem szerokich taśm ze skóry selskina. Te prymitywne sprężyny z pewnością dobrze amortyzowały wstrząsy po najechaniu na niewielki wybój lub dziurę, ale sprawiały, że kosz mocno kołysał się na boki.

Do burty sań przymocowano długą pochwę, z której wystawał długi bat i dwie włócznie. Przez krótką chwilę Tal walczył z ochotą, żeby wyciągnąć jedną z nich i cisnąć w Millę. Szybko jednak odpędził od siebie marzenia o ucieczce. Patron wskazałby mu kierunek, ale Tal

nie potrafił prowadzić sań, a nawet gdyby potrafił, nie wiedział, jak przekroczyć Żywe Morze. Kiedy o tym pomyślał, potrójne nacięcie na nadgarstku zaczęło go piec, ale nie zwrócił na to uwagi. Na razie widział wystarczająco wiele dobrych powodów, dla których powinien trzymać z Milla. Później znajdzie sposób, by się jej pozbyć.

Milla wskoczyła do sań. Zakołysały się gwałtownie. Nieprzygotowany na to Tal stracił równowagę i oparł się na dziewczynie.

- Uważaj! - warknęła, odpychając go brutalnie.

Z pochwy na zewnątrz kosza wyciągnęła długi bat i wyćwiczonym ruchem strzeliła z niego, posyłając w powietrze fontannę lodowych odprysków. Wreski zaczęły kręcić się niespokojnie, parsknięciami rozdmuchując puszysty śnieg.

Milla strzeliła jeszcze raz nad głową prowadzącego wreska. Rozległ się trzask, zwierzę parsknęło głośniej i sanie szarpnęły do przodu.

- Eeeyyyi-haaaaa! - ogłuszająco wrzasnęła Milla.

Wreski szarpnęły mocniej, zapierając się o lód swoimi kosmatymi nogami, zaopatrzonymi w ostre trójpalczaste kopyta. Sanie zakołysały się i zaczęły nabierać prędkości.

- Ale frajda! - zawołał Tal, zdumiony szybkością, z jaką poruszały się sanie.

Sunęli po lodzie szybciej, niż Tal mógłby biec, niemal tak szybko, jak zjeżdżało się szybem pralni w Zamku.

- To nie jest żadna frajda. - Milla groźnie ściągnęła brwi. - To tylko środek transportu. Wypełniamy poważne zadanie i nie mamy czasu na uciechy.

Tal nie odpowiedział. Cokolwiek sądziła o tym Milla, to była frajda. Ale najważniejsze, że jechali w stronę Zamku. Tal miał własne zadanie i choć jego realizacja opóźniła się, nie wszystko było stracone. Zdobędzie helior i zostanie pełnoprawnym wybranym. Zrobi to dla swojej matki, ojca, Grefa i Kusi.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sanie bardzo szybko - zbyt szybko - opuściły krąg światła, rzucający przez helioryt ludzi lodu. Tala znów ogarnęła fala lęku przed ciemnością; ręka sama zacisnęła się na dopiero co naprawionym łańcuszku na jego szyi. Na szczęście po obu stronach sań wisiły świecące na zielono owadzie latarnie, a poroże wresków (tak ludzie lodu nazywali rozwidlone gałęzie na głowach tych zwierząt) jarzyło się słabą białą poświatą.

Milla zauważyła ruch ręki Tala i uśmiechnęła się złośliwie. Tal puścił łańcuszek. Nie chciał, by myślała, że się boi.

Jechali w milczeniu przez godzinę lub dłużej i Tal wkrótce odkrył, że Milla przynajmniej częściowo miała rację. Na początku szybkość jazdy była ekscytująca, ale teraz od stania w rozchybotanym i podskakującym na nierównym lodzie koszu piekły go kolana, a zaciśnięte na burtach dłonie pulsowały nieznośnym bólem. Niepokoiła go także niemożność obserwowania drogi przed rozpędzonymi saniami, choć Milla najwyraźniej nic sobie z tego nie robiła. Albo widziała lepiej niż on w mroku

•

rozpraszającym jedynie mdłym zielonym światłem latarni, albo wreszcie miały sokoli wzrok, a ona im ufała.

Po następnej godzinie Tal omdlewał z wyczerpania. Wreszcie opadł na dno kosza, rezygnując z prób dorównania Milli. Patron podtrzymywał go, kiedy mógł, ale nie ośmielał się na wiele, odkąd nakazano mu zachowywać się jak zwyczajny cień, by nie drażnić ludzi lodu.

- Kiedy postój? - spytał Tal, gdy zmęczenie ostatecznie wzięło górę nad dumą.

- Niedługo - odparła Milla. - Myślę, że zbliżamy się już do Żywego Morza. Niebawem powinniśmy ujrzeć selskiny... Tak! Jest światło!

Wyciągnęła palec przed siebie, jednocześnie ściągając wodze, by zmniejszyć prędkość. Tal spojrział we wskazanym kierunku. Początkowo nie widział nic, ale kiedy podjechali bliżej, spostrzegł, że łód przed nimi jest nieznacznie nachylony. W oddali, nieco poniżej linii wzroku, rozpościerała się długa smuga mętnej poświaty, ciągnąca się przez cały widnokrąg.

- Co to za światło?

- Kalakoje - powiedziała Milla, składając kciuk i palec wskazujący w kółko. - To stworzonka mniej więcej tej wielkości. Żyją na selskinach. Świecą i wabią ćmy oraz śleppeniszę, którymi żywią się selskiny. Ale kalakoje mogą też zjeść selskina, jeśli jest stary i nie ma siły zdrapywać ich z siebie.

- Uhm... a co to są te ślepisze?

- Ślep-pe-ni-sze - poprawiła Milla. - Idą zawsze przed selskinami. Jest ich mnóstwo, nawet więcej niż selskinów. Śleppeniszę przewiercają się przez lód i wyłazają na po-

wierzchnie, a te, których nie zjedzą selskiny, wracają na dół do wody. Niektórzy mawiają, że te ocalałe przemieniają się w głębinach w coś innego, a potem rodzą nowe sleppeniszę. Nie wiem, czy to prawda.

- Jak one wyglądają? - spytał nerwowo Tal. Poczł się nieswojo na myśl o stworzeniach wyłazających spod lodu w niezliczonych stadach.

- Jak struna harfy, ale nigdy nie zobaczysz ich pojedynczo - powiedziała Milla i nagle zamilkła. Lekceważenie Tala walczyło w niej o lepsze z równie silnym pragnieniem popisania się swoją wiedzą. Zwyciężyła próżność. - Wychodzą całymi rojami i gdybyś wyznaczył na lodzie kwadrat, naliczyłbyś ich tam więcej niż płatków śniegu po burzy. Nie są groźne, ale przewiercając się na powierzchnię osłabiają lód. Dlatego właśnie nigdy nie przechodzimy między oddzielnymi stadami Żywego Morza, a tylko przez tymczasowe szczeliny. Tam gdzie selskiny spotkają się z sleppeniszami, zawsze jest woda.

Tal milczał, trawiając nowe informacje. Sanie jechały teraz wolniej, kierując się w dół lodowego stoku. Poświata była coraz jaśniejsza. Tal wpatrywał się w nią z niepokojem, coraz lepiej pojmując, dlaczego ludzie lodu nazywali migrujące stada selskinów Żywym Morzem. Światło zdawało się wypełniać cały świat przed saniami.

Nagle Milla ostro ściągnęła wodze, wykrzykując jednocześnie imiona dwóch prowadzących wresków.

- Tara! Rall!

Wreski zahamowały gwałtownie, ślizgając się i orząc lód kopytami. Milla ujęła włócznie, wybierając tę z więk-

szym grotem - groźnie połyskującym kościanym ostrzem, grubym jak ramię Tala.

- Co się stało? - spytał Tal, wyciągając helioryt i unosząc go nad głową.

Widział tylko poświatę w oddali, ale kiedy wreski przestały parskać, usłyszał też głuchy dudniący grzmot, niczym odległy dźwięk tysięcy bębnów. Przeciągły, niski i donośny.

- Samotny selskin - rzuciła Milla, zeskakując z sań i zsuwając maskę z twarzy, by lepiej widzieć. - Odłączył się od stada. Musimy zapędzić go z powrotem.

Tal rozejrzał się wokół. W pewnej odległości na lodzie ujrzął coś czarnego i dużego. W pierwszej chwili wziął to za pagórek lub kopiec, ale nagle spostrzegł, że kopiec się porusza.

- To jest selskin? - spytał wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Zwierzę musiało mierzyć przynajmniej sto ramieni długości i dwadzieścia wysokości. Było niemal tak wielkie, jak statek ludzi lodu. Gigantyczną górę mięsa pokrywały fosforyzujące punkty, tworzące wizerunek przypominający mapę nocnego nieba ponad Sferą.

Selskin unosił się na tylnych łapach - albo raczej płetwach - a potem rzucał do przodu całym ciężarem swojego olbrzymiego cielska. Za każdym razem, gdy opadał, Tal słyszał trzaskanie kruszonego lodu.

- Nie możemy po prostu zostawić go tutaj?

- Nie - odparła Milla. - Samotny selskin stanowi niebezpieczeństwo dla statku i innych Idanów. Musi wrócić do stada.

- Nie zmusisz go do tego tą bronią. - Tal kiwnął głową w stronę włóczni.

Ta dziewczyna była jeszcze bardziej szalona, niż sądził. Tego kolosa nic nie mogło zawrócić z drogi!

- Harpun byłby lepszy - zgodziła się Milla takim tonem, jakiego użyłby wybrany, opisując występ artystyczny niezupełnie godny Granatowego Promienia Najwyższego Ukontentowania.

Dziewczyna wyciągnęła zza pasa nóż - kolejną zakrzywioną i zaostrzoną kość - i dodała:

- Będę musiała między jednym skokiem a drugim wypłuścić mu lewe oko. To zawróci go w stronę stada.

- Nie! - krzyknął Tal. Wiedział, że bez Milli nigdy nie dotrze do Zamku. Owszem, była obłąkana, ale nie mógł pozwolić jej zginąć. Przynajmniej jeszcze nie teraz. - A co z naszym Zadaniem!? To chyba ważniejsze, prawda?

Milla zawahała się. Po raz pierwszy Tal dostrzegł w niej rówieśniczkę. Wyglądała tak samo, jak jego koleżanki z lektorium, kiedy zadano im pytanie, na które nie potrafiły odpowiedzieć. Po krótkiej chwili samokontrola wzięła górę i twarz Milli na powrót stężała w znajomym surowym grymasie.

- Masz... rację - powiedziała Milla, cedząc słowa z wyraźnym trudem.

Wsunęła włócznię z powrotem do pochwy, a nóż za pas, po czym nasunęła maskę na twarz i wskoczyła do sań.

- Zadanie jest teraz najważniejsze. Przedni patrol zajmie się samotnikiem.

Tal westchnął z ulgą i wetknął helioryt z powrotem za kozuch. Milla strzeliła z bata i sanie ruszyły, zakręcając lekko, by ominąć samotnego selskina tuż za jego ogonem.

- Nie musisz się bać - powiedziała Milla, widząc, że Tal drży na widok fontann lodowych odprysków, przelatujących nad saniami po każdym susie zwierzęcia. - Selskiny nigdy nie zawracają. Mogą skręcać w jedną lub drugą stronę, ale nigdy się nie cofają.

„Jak ludzie lodu” - pomyślał Tal, zerkając na Millę przez bursztynowe okulary w swojej masce. Odwaga dziewczyny imponowała mu. Zbliżenie się do selskina oznaczało pewną śmierć, ale Tal wiedział, że Milla zrobiłaby to, gdyby nie odwiódł jej od szaleńczego pomysłu. Z niechęcią pomyślał, że nie zna wielu wybranych, którzy poświęciliby życie za swój zakon. Oczywiście żyli w znacznie bardziej cywilizowanych warunkach, ale...

W każdym razie niebezpieczeństwo minęło.

Czy rzeczywiście minęło? Podczas gdy sanie sunęły naprzód, Tal zauważył, że przeciągły grzmot staje się coraz głośniejszy - wręcz ogłuszający. Światło, które przedtem było linią na horyzoncie, stało się teraz znacznie jaśniejsze i wypełniało spory kawał lodu i nieba. Wyglądało jak olbrzymia falująca świetlista masa. Po chwili Tal zaczął rozróżniać kształty: całe mnóstwo żywych pagórków, unoszących majestatycznie swoje gigantyczne cielska i opuszczających je z łomotem na lód. Jechali prosto na nie. Już miał coś powiedzieć, kiedy Milla strzeliła z bata i krzyknęła. Wreszcie przeszły w galop.

Sanie rozpędały się. Tal wpatrywał się w lód. Po lewej stronie widział falujące morze selskinów, odwróconych

do nich ogonami. Po prawej niewyobrażalnie wielka masa pełzających kolosów parła niepowstrzymanie wprost na nich - niemal jednolita ściana z jarzących się dziwną poświatą ciał, poprzedzana przez wirujący wał śniegu i odłamków lodu. Dudniący odgłos przemienił się w basowy ryk, w którym utonęły wszystkie inne dźwięki.

Wkroczyli w rozstęp w Żywym Morzu selskinów, ale Tal nie mógł się oprzeć wrażeniu, że znaleźli się tu w niewłaściwym czasie. Nacierające selskiny były zbyt blisko, a szczelina między dwiema częściami stada zwężała się.

- Musimy schronić się za skałą! - zawołała Milla, usiłując przekrzyczeć ogłuszający rumor. Wyciągnęła dłoń w stronę ciemnej sylwetki, którą Tal wziął za jeszcze jednego selskina. Po chwili dotarło doń, że kształt się nie porusza.

 Nie sądził, by mogło się to udać.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Skała stercząca z lodowej płaszczyzny była wysoka jak jeden selskin i niewiele szersza niż trzy Nazywana przez ludzi lodu siedemdziesiątym drugim przecinaczem, była akurat na tyle duża, by selskiny omijały ją, zamiast przeskakiwać.

Sanie schowały się za skałą dokładnie w chwili, gdy pierwszy selskin runął na lód tuż za nimi, zamykając szczelinę. Tal był w takim szoku, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Ciągłe nie wierzył, że jeszcze żyje. Lodowe odpryski, strzelające spod spadających cielsk, smagały mu twarz, a niektóre wpadały wprost do szeroko otwartych ust.

Tal patrzył jak urzeczony. Kolosy unosiły się i z łomotem opadały na lód, ale w jakiś tajemniczy sposób nie zderzały się ze sobą. Poza strefą oświetlaną przez latarnie przy saniach widać było tylko świetliste wzory, tworzone przez kalakoje na skórze wędrujących zwierząt - falujący wielobarwny gobelin ze światła.

Selskiny nie wydawały żadnych odgłosów, a nawet jeśli wydawały, to ginęły one w huku i jękach lodu.

- I co dalej? - spytał Tal, gdy ochłonał. Musiał krzy-
czeć prosto do ucha Milli.

- Wejść na przecinacz i rozejrzeć się za następną
szczeliną! - odkrzyknęła dziewczyna.

Milla zeskoczyła z sań i zabrała się do oglądania nóg
wresków, szukając nadwreżonych mięśni i uszkodzeń na
kopytach.

Tal usiadł i ściągnął brzeg kaptura tak ciasno, jak tyl-
ko się dało, żeby wygłuszyć łomot ciał selskinów. Po dzie-
sięciu minutach pojął, że to ani trochę nie pomaga. Zro-
bił więc to, co każdy wybrany uczyniłby w podobnej
sytuacji. Poszukał wzrokiem swojego patrona i...

- Patronie, patronie, ochroń mnie przed hałasem.

Patron, mętnoszary w świetle owadzich latarni, nie-
znacznie poruszył swoją kopią głowy Tala, naśladując je-
go ruch. Tal pomyślał, że cień nie dosłyszał, więc powtó-
rzył polecenie głośniej. Znowu nic.

Już miał wrzasnąć na cały głos, kiedy do sań wskoczy-
ła Milla. Widząc Tala pochylonego nad swoim cieniem,
ściągnęła brwi i sięgnęła po nóż.

- Żadnej magii cieni! - krzyknęła. - Krona zabroniła!

Patron nie poruszył się. W tej chwili nie różnił się ni-
czym od zwyczajnego cienia. Tal wyprostował się i popra-
wił kaptur. Nie powiedział nic, ale Milla już się uspokaja-
ła. Jej dłoń powoli odsunęła się od rękojeści noża.

- Zbliży się szczelina! - krzyknęła. - Musimy być gotowi.

Tal nie usłyszał wszystkiego, ale do jego uszu dotarło
słowo szczelina, a to wystarczyło. Odwrócił się twarzą do
przodu sań i mocno ujął poręcz. Milla ustawiła się za
nim, starannie omijając patrona i wyciągnęła bat.

Przed nimi wciąż trwał pochód olbrzymów i nic nie wskazywało na to, by miał się skończyć. Światło kalakojów wciąż było tak samo jasne, a huk nie cichł ani na chwilę.

Tal czekał. Kiedy selskiny odsłonią wolną przestrzeń, Milla popędzi wreski i znów znajdą się w drodze do Zamku.

Milla strzeliła z bata i krzyknęła na wreski, ruszając prosto na ruchomą ścianę selskinów. Sanie szybko nabierały prędkości. Tal ścisnął poręczę jeszcze mocniej.

- Nieee! - wrzasnął, nie słysząc własnego krzyku.

Wypadli zza krawędzi skały prosto na zryty i spękany lód o zaledwie kilka ramieni za usianym kalakojami, świecącym ogonem selskina. Tal spojrział w prawo, spodziewając się widoku następnego olbrzyma, spadającego wprost na nich, ale nie było tam ani jednego. Przynajmniej nie w najbliższej odległości.

Milla musiała dostrzec zbliżającą się szczelinę ze szczytu przecinacza i zapamiętać wzór kalakojów na skórze ostatniego selskina.

Szczelina była wąska. Milla nie przestawała strzelać z bata i popędzać wreski okrzykami. Jeden z prowadzących potknął się i przez jedną straszną chwilę Tal był pewien, że zwierzę upadnie, a sanie roztrzaskają się. Jednak wresk szybko wpadł w rytm i pobiegł dalej.

Sanie mknęły przez lodową płaszczyznę podskakując i zataczając się na boki. Tal był pewien, że tym razem selskiny dopadną ich, zmiążdżą, że wbiją sanie w lód, a jego razem z nimi. Wyciągnął z futer helioryt, choć wiedział, że jest zbyt mały, by dawać jakąś nadzieję. Mocny

promień światła mógł zmusić pojedynczego selskina do zboczenia z drogi, ale za tym jednym będą setki... może nawet tysiące następnych.

Sanie najechały na większy odłamek lodu i przechyliły się na jedną stronę. Tal wypadłby z nich, gdyby nie wypuścił heliorytu z dłoni i nie chwycił burty obiema rękami. Milla krzyknęła coś, czego nie mógł usłyszeć, jednocześnie łapiąc go boleśnie za ramię.

Rozpędzone sanie znów odbiły się od czegoś, przez chwilę jechały bokiem, po czym jedna płoza oderwała się od lodu. Milla przechyliła się w przeciwną stronę, pociągając za sobą Tala. Przez sekundę wydawało się, że to wystarczy, ale potem trafił się jeszcze jeden wybój. Sanie wystrzeliły w powietrze i przewróciły na bok.

Milla cudem zdołała utrzymać Tala przy sobie, kiedy sanie z piskiem i zgrzytaniem orały lód, zataczając wielki łuk. Wreski skowytały, przewracając się jeden na drugiego. Wszędzie fruwały odłamki lodu. Tal przez chwilę nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Myślał tylko o selskinach, które skakały wprost na nich.

Wreszcie uświadomił sobie, że sanie zatrzymały się. Milla wywlokła go na lód i wyciągnęła nóż. Oszołomiony patrzył, jak dziewczyna pośpiesznie przecina skórzane pasy, łączące uprząże wresków z saniami. Kiedy pękło ostatnie połączenie, zwierzęta rzuciły się do ucieczki. Dobrze wiedziały czym grozi spotkanie z selskinami.

- Uciekaj! - wrzasnęła Milla.

Okrzyk nieco otrzeźwił Tala, który nawet nie zdawał sobie sprawy ze swojego otępienia. Nagle w pełni pojął grozę sytuacji. Milla odcinała od wraku nieuszkodzoną

latarnię i tobołek z zapasami. Selskiny były coraz bliżej. Lód drżał pod ich cielskami.

Tal puścił się biegiem, ale w niewłaściwą stronę. Milla zdążyła złapać go i popchnąć ku nadciągającej fali selskinów. Opierał się przez chwilę, dopóki nie zrozumiał, że dziewczyna kieruje go nie w stronę rozpędzonych kolosów, ale tam, gdzie kończył się utworzony przez nie szpaler.

Drugi brzeg Żywego Morza był tak blisko... ale selskiny także.

Milla gnała już naprzód, nie oglądając się za siebie. Tal zaczerpnął haust mroźnego powietrza, aż poczuł bolesne kłucie na samym dnie płuc. Potrzebował tego. Pobiegł tak szybko, jak jeszcze nigdy w swoim życiu.

W biegu ujrzał, że Milla potknęła się i potoczyła po lodzie. Bez zastanowienia zahamował i schylił się, by ją podnieść. Była znacznie cięższa, niż się spodziewał, ale jakoś zdołał postawić ją na nogi. Pobiegli razem, podtrzymując się nawzajem, ślizgając i wymachując ramionami dla zachowania równowagi.

Teraz wyraźnie widzieli ostatniego selskina: tego, przed którym musieli przemknąć, by wydostać się na otwartą przestrzeń. Porastające go kalakoje tworzyły wzór przywodzący na myśl wiele par oczu, jarzących się czerwoną, żółtą i pomarańczową poświatą. Wszystkie zdawały się obserwować dwie nieduże postacie, pędzące co tchu w stronę lewiatana.

Selskin grzmotnął o lód, śląc pajęczą siatkę pęknięć wprost pod nogi Tala i Milli, których bieg przemienił się w opętańczy taniec nad szczelinami. Uwięźnięcie w jednej z nich oznaczało pewną śmierć.

Potężne płetwy potwora wpały się w podłoże z głośnym chrzęstem kruszonych odłamków lodu. Olbrzymie cielsko zaczęło się unosić. W tym samym momencie Tal i Milla ruszyli do ostatniego desperackiego sprintu, którego trasa wiodła tuż pod brzuchem bestii walczącej z własnym ciężarem. Widzieli jej małe ciemne oko, śledzące ich ze zdumieniem, oraz wielką otwartą paszczę z rzędem małych ząbków do odcedzania sleppeniszów. Selskin wznosił się nad nimi coraz wyżej i wyżej, aż zawisł na chwilę w bezruchu. Tal i Milla równocześnie krzyknęli, a potem zmylili krok i upadli, ślizgając się na plecach i brzuchach po lodowej płaszczyźnie.

Selskin skoczył.

Tał ujrzał spadający ogon i zamknął oczy. Milla widziała to także, ale jej powieki nawet nie drgnęły. Ludzie lodu wierzyli, że śmierci należy patrzeć w oczy



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ogon minął ich o ramień, ale runął na nich tak gęsty deszcz lodowych odłamków, że Tal uwierzył w swoją śmierć. Upłynęła dłuższa chwila, nim oswoił się z myślą, że jednak żyje. Milla pomogła mu wstać i razem, chwiejąc się i zataczając, zaczęli oddalać się od stada. Za ich plecami grzmiało morze selskinów, ale żaden nie był niebezpiecznie blisko.

Szli pół godziny, nim znów mogli normalnie rozmawiać i nim Milla uznała, że nic im już nie grozi. Dziewczyna zdjęła z pleców tobołek i usiadła na nim. Tal usiadł także, ufając, że grube futro na pewien czas zabezpieczy jego pośladki przed zimnem.

- Przeszliśmy przez Żywe Morze - powiedziała Milla głosem pełnym dumy

Nie wyglądała na zmartwioną utratą sań i wresków, które bezpowrotnie zniknęły w mrokach wiecznej nocy. Coś w jej głosie kazało Talowi zadać pytanie.

- Nie robiłaś tego wcześniej?

- Nie - Milla zsunęła maskę z twarzy i uśmiechnęła się, choć nie do Tala. - Nie przekraczamy Żywego Morza,

chyba że w najwyższej potrzebie. Kiedy wrócę, będą śpiewać pieśni o naszym przejściu.

- Wspaniale - powiedział Tal z goryczą. - Myślałem, że robicie to bez przerwy. Nigdy nie zgodziłbym się...

Urwał, widząc, że Milla go nie słucha. Była kompletnie szalona, tak jak wszyscy ludzie lodu. Pomyślał, że im szybciej dotrą do Zamku, tym lepiej. Nawet dziadek Ebbitt nie miał tak źle w głowie jak ta dziewczyna.

Rozejrzył się wokół. Słabe światło rzucane przez ćmy w latarni ledwie wystarczało do oświetlenia twarzy Milli. Patron był praktycznie niewidzialny. Poza tym wszędzie panowała całkowita ciemność. Tal jeszcze raz musiał walczyć z chęcią uniesienia heliorytu i wywołania z niego jasnego światła.

W tej wszechobecnej czerni mogło się czaić coś groźnego.

- Możesz się teraz zdrzemnąć, a potem ruszymy dalej - powiedziała Milla. - Ja będę trzymać wartę. Bez sań nasza podróż potrwa dłużej.

- Jasne - mruknął Tal.

Już teraz czuł, że chłód lodu jednak przenika przez jego futra. Jak miał w tych warunkach spać?

Zasnął jednak, a kiedy się obudził, było mu bardzo zimno i miał zeszywniałe mięśnie. Milla przygotowywała jedzenie. Na lodzie ustawiła kościany talerz, wypełniony olejem, i wyciągnąwszy nad nim ręce, krzesła iskry za pomocą dwóch kawałków srebrnego metalu. Po kilku uderzeniach olej zapalił się. Milla wyjęła z tobołka kościany trójnóg, ustawiła go nad płomieniem, a na gorze umieściła mały kociołek. Po zapachu, jaki wkrótce roz-

szedł się w powietrzu, Tal odgadł, że w kociołku jest mięso selskina.

- Jak polujecie na selskiny? Są takie wielkie i groźne - zagał, podskakując w miejscu i bijąc się ramionami w plecy, by przywrócić normalne krążenie krwi. Powietrze wokół jego piersi, szyi i twarzy było zaskakująco ciepłe, a helioryt niemal parzył. Tal musiał nieświadomie czerpać z jego mocy podczas snu.

- Wyszukujemy stare i powolne - odrzekła Milla. - Te, które nie nadążają za stadem, i te napoczęte już przez kalakoje. Ale nawet one są niebezpieczne. Dwudziestu lub trzydziestu łowców musi długo walczyć, zanim selskin się zatrzyma.

- A co potem? - spytał Tal.

Świat poza Zamkiem był taki dziwny i tajemniczy. Świat, o którym wybrani nie mieli najmniejszego pojęcia - a przynajmniej tak się Talowi zdawało. Gdyby cokolwiek wiedzieli, usłyszałyby przecież to i owo o ludziach lodu, selskinach i merwinach.

- Umierają - odpowiedziała Milla. - Jeśli selskin się zatrzyma, umiera. Masz, jedz pierwszy.

- Mamy jeść tą samą łyżką? - spytał Tal, krzywiąc się z niesmakiem. Ależ ta dziewczyna była nieokrzesana!

- Możesz nie jeść i umrzeć z głodu - odparła Milla, wzruszając ramionami.

Tal dostrzegł w jej oczach błysk dawnej nienawiści, nim odwróciła wzrok i zajęła się wyławianiem z kociołka kawałków mięsa. Kiedy zjadła mniej więcej połowę, głód Tala ostatecznie przewyciężył wstręt. Nieśmiało wyciągnął rękę po kociołek. Milla bez słowa wręczyła mu łyżkę.

Następne siedem dni upłynęło mniej więcej w ten sam sposób - siedem dni według przybliżonych wyliczeń Tala. W Zamku określał czas za pomocą heliorytu, ale ten odmierzał tylko godziny. Tutaj Tal czasem gubił się w rachubach.

Wszystkie dni wyglądały tak samo. Wędrowali, wędrowali i znów wędrowali, czasem wspinając się na oblodzone pagórki, czasem z nich schodząc, a czasem idąc po lodowej równinie. Milla rzadko odzywała się w innym celu, niż żeby wydać Talowi jakieś polecenie. Co kilka godzin urządzali postój, by ugotować posiłek, zdrzemnąć się na zmianę, albo gdy ktoś z nich musiał pójść za potrzebą. Te przystanki w ciemności i mrozie nie były ani przyjemne, ani bezpieczne. Kiedy Tal oddalał się na stronę, używał heliorytu, by nie dopuścić do zamrożenia nagiego ciała. Nie miał pojęcia, jak radzi sobie Milla. Zapewne ludzie lodu mieli swoje sposoby.

Tal właśnie wracał z takiej przechadzki, gdy ujrzał Millę biegnącą ku niemu na czworakach z latarnią przesłoniętą tak, by świeciła tylko do przodu.

- Schowaj światło! - rozkazała i pociągnęła go za rękę, zmuszając do przykucnięcia.

Tal szybko skoncentrował się na heliorycie, przygasił jego światło, a potem wsunął kamień za kozuch.

- Co się stało? - wyszeptał.

- Merwin - odpowiedziała Milla również szeptem. - Duży. Był na naszym tropie, ale rozrzuciłam mięso, żeby go zmylić. Musimy wynieść się stąd najszybciej, jak się da, najlepiej bez światła.

Tal przypomniał sobie, jak Milla opowiadała mu o merwinach, gdy byli jeszcze na statku. Wydawało mu się, że było to całe wieki temu.

- Trzymaj się mojego pasa - wymamrotała dziewczyna.

Tal posłuchał i ruszyli w drogę. Milla przygasiła latarnię jeszcze bardziej, pociągając za uchwyt u dołu, który zacieśniał lub rozluźniał splot klosza. Tal praktycznie nic nie widział, ale nie cierpiał z tego powodu nawet w połowie tak bardzo jak zaledwie kilka dni temu. Zaczynał przyzwyczajać się do ciemności.

Ponadto - musiał to przyznać - zaczynał przyzwyczajać się do swojej towarzyszki. Tym bardziej że najwyraźniej traktowała serio rytuał krwi i była gotowa na wszystko, byle dostarczyć Tala całego i zdrowego do Zamku. Był to znaczny postęp w porównaniu z czasem, kiedy po prostu pragnęła go zabić. Oczywiście nie znaczyło to, że jest kimś więcej niż tylko córką zbiegłych niższych, albo kogoś w tym rodzaju.

Milla zatrzymała się tak nagle, że Tal prawie się z nią zderzył. Przez chwilę stali bez ruchu w ciemności. Słyszeli swoje oddechy - spod masek dobywały się ostre świsty, bez względu na to, jak cicho starali się oddychać.

Tal wyczuwał, że Milla wypatruje czegoś w mroku, ale było zbyt ciemno, by mógł zorientować się, w którą stronę patrzy. Powoli potoczył wzrokiem dookoła, szukając czegokolwiek, co czaiło się w wiecznej nocy. Gdy wreszcie coś dostrzegł, jego umysł przez sekundę bronił się przed przypomnieniem sobie, co to jest. Zobaczył

wysoki i cienki stożek światła o zaskakującej jasności,
który sunął przez mrok, z wolna kołysząc się z jednej
strony na drugą.

Róg merwina.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

C

Świecący róg, trzy razy wyższy od Tala, zbliżał się powoli i bezgłośnie. Tal bardziej wyczuł, niż zobaczył, że Milla wyciąga swój nóż. Obie włócznie połamały się razem z saniami. Krótki kawałek zaostrej kości nie wydawał się skuteczną bronią przeciw drapieżnej bestii, wyposażonej w róg, na którym po nadzianiu Tala i Milli zostałyby jeszcze sporo miejsca.

Powoli, niedostrzegalnym ruchem, Tal sięgnął za kózki i pociągając za łańcuszek zaczął wydobywać stamtąd helioryt. Już prawie go miał, kiedy merwin wreszcie zorientował się, gdzie są jego ofiary. Powietrzem targnął straszliwy gwizdzący skrzek i świetlisty róg ruszył do przodu z oszałamiającą prędkością. Milla krzyknęła coś i odepchnęła Tala na bok. Ona również pobiegła, ale do przodu, prosto na merwina. Tal widział to wyraźnie, gdyż całą okolicę oświetlał teraz złowrogi blask rogu.

Scena, jaką ujrzął w następnej chwili, miała wryć się w jego pamięć na zawsze.

Merwin był jeszcze większy, niż opisywała Milla - mierzył co najmniej dwadzieścia ramieni długości. Miał

wąski żyłasty korpus i wyglądał jak węzokral z Monsterrium, tyle że zamiast łap miał cztery długie płetwy, uzbrojone w szpony, a zamiast łusek lśniącą czarną skórę. Po jednej stronie wąskiego łba bestii tkwiło olbrzymie złote oko, długie, z wąską pionową źrenicą i powieką, która otwierała się i zamykała kilka razy na sekundę. W miejscu drugiego oka ział pusty poszarpany oczodół, najpewniej pamiątka po jednej z dawnych walk. Róg wyrastał z mocno wysklepionego grzbietu czaszki pomiędzy oczami merwina. Poniżej była paszcza, łyskająca mnóstwem ostrych zębów, wystarczająco wielka, by móc pochłonać Tala jednym kłapnięciem.

Kiedy Milla pędziła w szalonej szarży, straszliwy róg uderzył. Sunął w stronę dziewczyny i przez chwilę Tal był pewien, że przebiję ją na wylot.

Milla uchyliła się w ostatniej chwili i prawie udało jej się uniknąć ciosu. Prawie, bo merwin rzucił głową w bok i ostry koniec rogu przejechał po kożuchu na piersiach dziewczyny. Straszliwa siła ciosu odrzuciła ją daleko od potwora. Milla grzmotnęła o lód i już nie wstała.

Merwin zawahał się. Po chwili ruszył w stronę nieruchomego ciała, orząc lód czubkiem rogu. W głowie Tala rozległy się słowa Milli - „... wbijają róg w ofiarę, a potem raz za razem wałą nią o lód... ”

Merwin uniósł się na tylnych płetwach, szykując się do ataku na bezbronną dziewczynę.

- Nie! - krzyknął Tal i ruszył w stronę bestii, trzymając helioryt w wyciągniętej przed siebie dłoni.

Merwin błyskawicznie zmienił cel. Skoczył do przodu, rozciągając się na całą długość i mierząc świetlistym

rogiem prosto w chłopca. Tal rzucił się w bok i upadłby, gdyby nie podtrzymał go patron. Zdołał także utrzymać helioryt wycelowany w złote oko potwora. Wiedział, że wystarczy mu czasu tylko na jeden błysk światła, nim bestia powtórzy atak. W jednej chwili skupił wszystkie myśli na heliorycie, wysysając z niego każdą cząstkę jego mocy i kierując ją na merwina.

Błysk był tak potężny, że oślepił nawet Tala. Merwin zaniósł się przeraźliwym piskliwym skrzekiem, ale chłopiec nie wiedział, czy zdołał wypalić mu oko, czy tylko go rozdrażnił. Tak czy inaczej merwin wciąż był blisko - zbyt blisko.

Tal przeklinał się za swoją głupotę. Dlaczego nie zamknął oczu?! Słyszał merwina wściekle miotającego się tuż obok i wyobraził sobie siebie, nadzianego na wielki róg. Zaczął biec, ale zaraz się zatrzymał. Stracił orientację. Być może pędził prosto w stronę bestii!

- Patronie! - zawołał i wyciągnął przed siebie rękę.

Coś miękkiego i delikatnego dotknęło jego palców, a potem mocno popchnęło go w bok. W tej samej chwili tuż obok siebie usłyszał głośny świst powietrza, a ułamek sekundy później rozległ się łomot kruszonego lodu. Merwin chybił.

Bestia albo wciąż go widziała, albo wyczuwała innymi zmysłami. Tal potoczył się po lodzie, a potem zaczął się czołgać tam, gdzie ciągnął go patron. Powoli wracał mu wzrok. Ciemność przemieniła się w mozaikę pływających plam i niewyraźnego światła.

Merwin uderzył jeszcze raz. Róg przemknął po lodzie tuż obok stopy Tala. Gdy chłopiec odzyskał wzrok, od-

wrócił się, by spojrzeć na bestię. Była ślepa, przynajmniej na razie. Złote oko było zamknięte i sączyła się z niego jakaś ciecz. Jednak merwin musiał mieć znakomity słuch albo węch, bo jego głowa skierowana była w stronę Tala, podobnie jak róg.

Tal pomyślał, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, bestia dopadnie go na pewno. Helioryt był wyczerpany - nie pozostało w nim ani krzty energii - a patron nie mógł walczyć z istotą tak potężną jak merwin.

Nawet jeśli w jakiś sposób zdołałby uciec, nie miałby żadnych szans w wiecznej ciemności, pozbawiony jakiegokolwiek źródła światła. Bez światła patron rozproszyłby się w mroku, a bez patrona Tal nigdy nie znalazłby Zamku. A może uda się zdobyć latarnię i nóż? Tal zaczął zataczać krąg, skręcając w stronę zielonej poświaty znaczącej miejsce upadku Milli. Zdziwił się, że tak bardzo oddalił się od niej, uciekając na oślep przed merwinem.

Jeszcze bardziej zdziwił się na widok Milli, wyłaniającej się z mroku i dającej susa prosto na grzbiet merwina. Oplotła nogami szyję potwora i zatopiła nóż w jego głowie.

Merwin zaskrzeczał i podrzucił wysoko głowę, jakby zamierzał przebić niebo swoim świetlistym rogiem. Milla dźgnęła go jeszcze raz i wtedy z impetem opadł na lód, miażdżąc jej nogi. Utrzymała się jakimś niepojętym sposobem i jęła raz za razem wbijać nóż w czarne cielsko. Merwin piszczał, wił się i grzmocił głową o lód, ale nie udało mu się zrzucić Milli.

Wreszcie znieruchomiał, a blask jego rogu zaczął przysasać. Milla puściła jego szyję i odczołgała się na niewielką odległość. Tal widział krew na jej kozuchu, a na lodzie

zamarzające kałuże posoki merwina. Przełknął ślinę. Podczas walki dziewczyny z potworem stał jak zahipnotyzowany Teraz oprzytomniał i puścił się biegiem w stronę Milli.

Leżała na plecach. Kaptur spadł jej z głowy, a maski nie było nigdzie w pobliżu. W gasnącym świetle rogu Merwina Tal spostrzegł, że jej twarz jest jeszcze bledsza niż zwykle, a usta zaczynają sinieć. Przód jej kożucha był cały w strzępach, a futrzane ochraniacze na nogi poszarpane w wielu miejscach. Leżała w powiększającej się kałuży krwi - ciemnoczerwonej krwi, nie błękitnej posoki potwora.

- Umieram - szepnęła Milla. Z wysiłkiem otarła nadgarstek o pierś i wyciągnęła skrwawioną pięść w stronę Tala. - Na tę krew, którą dzielimy, krew klanu, kość statku, Zadanie musi...

Zamilkła, jakby zobaczyła coś, co ją zaniepokoiło. Zmarszczyła czoło, a potem powoli zamknęła oczy. Przez chwilę Tal sądził, że umarła, ale kiedy ukląkł u jej boku, zauważył, że wciąż oddycha, choć bardzo płytko. Powoli i z wielką uwagą Tal odwinął strzępy poszarpanego kożucha. Najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do spokojnego oddychania, kiedy ujrzał straszliwą ranę, ciągnącą się w poprzek lewego boku dziewczyny Nie wiedział, co robić. Jego helioryt był martwy a nawet gdyby nie był, Tal nie wiedziałby, jak go użyć.

Nagle poczuł na ramieniu delikatny dotyk. Cień patron zaczął delikatnie szczypać go w nadgarstek, naznaczony trzema nacięciami. Tal patrzył na niego, nie rozumiejąc. Patron usiłował mu coś powiedzieć. Przyjął dziwny, nieznan,

a jednak swojski, człekopodobny kształt. Wtedy Tal pojał. Patron przemienił się w cień Milli. Próbował powiedzieć, że może jej pomóc, ponieważ ona i Tal są teraz jednej krwi. Tal musiał tylko wydać polecenie.

- Patronie, patronie, ulecz rany Milli... - rzucił pośpiesznie.

Jeszcze nim skończył mówić, patron spłynął na pierś dziewczyny. Większość czarnej materii przywarła do jej żeber, ale wypuścił też macki, którymi oplótł jej nogi i lewe ramię. Wszędzie tam, gdzie dotykał jej ciała, krwawienie ustawało.

Tal opatulił futrami Millę razem z leczącym ją patronem, po czym poszedł po tobołek i latarnię. Odkrycie sposobu na rozluźnienie splotów klosza zajęło mu dłuższą chwilę. Gdy tego dokonał, postawił latarnię tuż obok dziewczyny. Patron potrzebował jak najwięcej światła.

Choć Milla już nie krwawiła, nadal nie było pewności, czy utrzyma się przy życiu. Tal siedział obok i rozmyślał. Zastanawiał się, czy naprawdę chce, by przeżyła. To prawda, ocaliła go, ale teraz, skoro miał tobołek i latarnię, mógł sam ruszyć do Zamku. Po co narażać się na dodatkowe kłopoty, związane z koniecznością zdobycia heliorytu dla ludzi lodu.

Milla nie należała do jego rodziny, nie była jego przyjaciółką - była nikim.

Tal zastanowił się, co w takiej sytuacji zrobiliby jego rodzice. Co zrobiliby ojciec, gdyby był tutaj? Albo matka, gdyby była zdrowa? Nie zostawiliby jej na pewno. Tylko ktoś taki jak mistrz cieni Sushin mógł to zrobić, a Tal nie chciał być taki jak on.

Westchnął i otworzył tobołek. Najpierw wydobył futro do spania, którym starannie opatulił dziewczynę. Potem zapalił olej pod kociołkiem i zabrał się do gotowania rosołu na mięsie selskina. Chciał, by Milla mogła posilić się czymś gorącym, kiedy dojdzie do siebie.

- Co się ze mną dzieje? - spytał martwe cielsko merwina, patrząc na nie znad bulgocącej zupy. - Jestem Tal Grała-Rerem z wybranych. Co robię na środku pustkowi, opiekując się... obłąkaną dziewczyną z plemienia ludzi lodu? Powinienem być w domu z nowym heliorem i przygotowywać się do Dnia Wstąpienia.

Martwy merwin milczał. Zamiast niego odezwał się ktoś inny.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

A gdzie właściwie jest twój dom? - powiedział głos dobiegający z ciemności, spoza gasnącego rogu merwina. Był to głos kobiety, a jego ton przywodził na myśl Kronę z klanu Tułaczy.

Tal podskoczył i zaczął nerwowo szukać noża Milli, porzuconego w fałdach tobołka. Kiedy wreszcie go znalazł, mówiąca stała tuż przed nim, trzymając grot włóczni przy jego gardle. Nie była sama.

Tala, Mille i merwina otaczał krąg ludzi lodu. Było ich przynajmniej dwunastu i wszyscy celowali włóczniami w Tala, jakby był co najmniej tak niebezpieczny, jak zabity potwór.

Tal nie słyszał, kiedy nadeszli. Równie dobrze mogli przylecieć z wiatrem albo nagle wyrosnąć spod lodu. Nosili futra innego koloru niż odzież Tułaczy, a ich maski były ozdobione falistymi liniami, które świeciły jak kalakoje na skórze selskinów. Na pewno należeli do innego klanu. Tal miał nadzieję, że zabicie merwina na ich terenach łowieckich nie było równoznaczne z kradzieżą. Choć przecież - przypomniał sobie - Milla próbowała go

zabić tylko za to, że znalazł się tam, gdzie nie powinien...

- Jestem wybranym z Zamku - powiedział powoli - ale teraz wędruję z Millą z klanu Tułaczy. Jestem związany przysięgą krwi z klanem i statkiem. Patrzcie!

Uniósł dłoń i podwinął rękawicę, by pokazać trójkątny znak na nadgarstku.

- Nie masz cienia - powiedziała kobieta. - Gdzie on się podział?

- Uzdrawia Millę - odrzekł niespokojnie Tal. Teraz, kiedy wiedział, jacy naprawdę są ludzie lodu, nie chciał dać im powodu do gniewu. - Walczyła z merwinem. Cień tylko powstrzymuje krwawienie. Nic więcej.

Kobieta spojrzała na Millę i odchyliła skrawek futra. Czubek włóczni wciąż dotykał gardła Tala.

- Opowiedz mi, jak i po co wydostałeś się z Zamku i jak spotkałeś Tułaczy - rozkazała wojowniczką.

Tal zaczął mówić - słowa praktycznie same sypały mu się z ust. Ta banda ludzi lodu była jeszcze bardziej przerażająca niż Milla. Ci, którzy stali dookoła, w ogóle się nie poruszali. Ich włócznie złowrogo połyskiwały w świetle latarni.

Opowiadając swoją historię Tal ukradkiem przyglądał się stojącym. Dopiero teraz zauważył, że ich odzież i maski są dokładnie takie same, odwrotnie niż w przypadku Tułaczy, którzy najwyraźniej dobierali sobie stroje według indywidualnego gustu. Docierał właśnie do fragmentu opowiadającego o ataku merwina, kiedy nagle uświadomił sobie, z kim ma do czynienia. To musiały być Dziewice Tarczy, jakiś rodzaj żeńskiego zakonu, do którego

Milla tak bardzo chciała dołączyć. Otaczał go tuzin całym dorosłych Milli! Cóż za przerażająca myśl.

Wreszcie zakończył opowieść. Przywódczyni przez chwilę stała w milczeniu, jakby zastanawiając się, co z nim począć. Potem powoli zaczęła unosić włócznię, dociskając mu grot do podbródka. Tal przełknął ślinę. Nie przeszedł przez tyle przygód tylko po to, by zostać zakłuty na śmierć przez szaloną Dziewicę Tarczy, która nie uwierzyła w jego opowieść!

- Breg, Libba, Umen, zajmijcie się dziewczyną - powiedziała kobieta. - Ty, Tal, pójdziesz z nami.

- Dokąd? - spytał Tal. -I czy... czy wolno mi zapytać, kim jesteście?

- Jestem Aria, Matka Tarczy - odrzekła wojowniczką. - Jesteśmy Dziewicami Tarczy, obecnie w służbie Matki Krony z Góry Światła.

- Z Góry Światła? - spytał Tal nerwowo. Tak Krona Tułaczy nazywała górę, na której wznosił się Zamek. - Czy to daleko?

- Trzy sny. Już wkrótce ujrzysz ją na niebie.

- Wracam do domu! - zawołał Tal, zrywając się na równe nogi.

Kilka wojowniczek natychmiast przystawiło mu włócznię do brzucha, co w jednej chwili ostudziło jego zapał.

- Jesteś więźniem - powiedziała Aria. - Zabieramy cię do naszej Krony, która cię osądzi. Wspinanie się na Górę Światła jest zakazane, a ja nie jestem pewna, czy opowiedziałeś mi prawdę. Jeśli ty lub twój cień spróbujecie ucieczki albo czarów, zabijemy cię. Czy mnie zrozumiałeś?

- Tak - powiedział Tal z rezygnacją w głosie.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Za każdym razem, gdy już myślał, że dostanie się do Zamku bez dalszych kłopotów, musiało wydarzyć się coś, co przekreślało jego nadzieje.

- Mamy sanie - powiedziała Aria. - Możesz na nich jechać razem z tą dziewczyną.. Milla.

Tal niewiele zapamiętał ze swojej podróży do siedziby Dziewic Tarczy u stóp Góry Światła. Sanie, ciągnięte przez tuzin wresków, były znacznie większe od pojazdu Milli. Ponieważ jednak przystosowano je do przewożenia ładunków, były powolne i niewygodne. Tal i Milla leżeli zaklinowani między workami ze skóry selskina, zawierającymi coś, co wydzielało zdecydowanie nieprzyjemny zapach.

Milla rzadko i na krótko odzyskiwała przytomność. Mówiła od rzeczy. Tal nie był pewien, czy sam nie spędził tej podróży w letargu. Przez większość czasu spał albo trwał w półśnie, a sny mieszały mu się ze wspomnieniami. Tropił go Sharrakor, który przemienił się w jednookiego merwina. Wspinał się na maszt, by na szczycie znaleźć dziadka Ebbitta, raczącego się opiwkiem.

Bezustannie śnił o swoim upadku z Czerwonej Wieży i o heliorytach. Padał wokół niego deszcz kamieni, ale on nie mógł żadnego dosięgnąć. Ale jedną rzecz zapamiętał i był pewien, że nie była snem: jego pierwsze spojrzenie na to, co ludzie lodu nazywali Górą Światła.

Przebudzony dziwnym przeciągłym śpiewem, wspiął się na burtę sań, by zobaczyć, co się dzieje. Ujrzał wojowniczeki ustawione w rzędzie, patrzące na coś w oddali i ra-

zem nuące słowa jakiejś modlitwy Podążył za ich wzrokiem i wtedy go zobaczył.

Zamek. Daleko na horyzoncie i bardzo wysoko, niczym olbrzymi kwiat ze światła - kwiat o tysiącach błyszczących płatków. Zdawał się wisieć w powietrzu, gdyż góry nie było widać w panującej poniżej ciemności.

„Dom - pomyślał Tal. - Dom... ”

Teraz, gdy go zobaczył, był pewien, że wróci. Matka Krona uwierzy mu, tak jak Krona ze statku. Na pewno pozwoli mu kontynuować podróż. Musi pozwolić.

Spojrzał w dół na Millę, wciąż leżącą nieruchomo wśród worków. Miejsce cienia patrona zajmowały teraz bandaże oraz opatrunki z tajemniczych ziół i maści. Dłoń dziewczyny wysunęła się spod futer, ukazując trójkątny znak. Tal spojrzał na własny nadgarstek. Trzy bliźny błysnęły gładzią w zielonym blasku latarni.

Potem spojrzał na jej cień. Wydał mu się inny niż cienie niższych. Ludzie lodu byli inni. Nie byli wybranymi, ale bez wątpienia nie byli sługami.

- Zabiorę cię do Zamku - powiedział Tal. Pochylił się i przyłożył swój nadgarstek do nadgarstka Milli. - Zdobędziemy dwa helioryty...

W następnej chwili dłoń Milli ścisnęła go za gardło, a jej płonące gorączką oczy przewiercały go dzikim spojrzeniem. Była osłabiona, a mimo to z wielkim trudem zdołał uwolnić się od uścisku. Odrzucił jej rękę i odskoczył.

- Czemu to nie umiera? - wycharczała Milla, rzucając głową na boki. Po chwili znów opadła na futra.

- Jesteśmy w drodze do Zamku - burknął Tal, masując sobie szyję.

Żałował, że w ogóle cokolwiek powiedział. Zastana wiał się, czy zabrać Millę ze sobą. Nie mógł uwierzyć, że przeżył tak wiele i dotarł tak daleko. Mimo obłąkanych ludzi lodu, wrogich mrokostworów, gigantycznego merwi-
na i straszliwego mrozu w jakiś sposób przedarł się przez te nieznanne ziemie. Czy na pewno był tym samym chłop-
cem, który wszystkie dni swojego dotychczasowego życia spędził w Zamku i przez wszystkie te dni nie wiedział, CO jest na zewnątrz?

Nie, nie był już taki sam. Nigdy już nie będzie.

Oczywiście kiedy już przekona Kronę, by puściła go wolno, będzie musiał jeszcze wspiąć się na górę, a potem znaleźć sposób na przedostanie się do Zamku. Ponieważ nigdy dotąd go nie opuścił normalną drogą, nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wiedział tylko, że na pewno mu się uda.

Tal wracał do domu.

O AUTORZE

Garth Nix urodził się w 1963 roku i dorastał w Canberrze w Australii. Jego powieść *Sabriel* zdobyła Nagrodę Aurealis dla najlepszej australijskiej książki fantastyczno-naukowej, a powieść *Shade's Children* mianowano Najlepszą Książką dla Młodzieży Amerykańskiego Związku Bibliotekarzy oraz Przebojem Przebojów Amerykańskiego Związku Księgarzy. Garth Nix jest także autorem powieści *The Ragwitch* i *Lirael*. Obecnie mieszka w Sydney.

Tal nareszcie wraca do Zamku... ale znajduje tam nowe niebezpieczeństwa

SIÓDMA WIEŻA

KSIEGA DRUGA - ZAMEK

Promień z heliorytu strażnika oślepił Millę i pozbawił ją przytomności. Tylko maska i skórzany pancerz ochroniły ją przed spłonięciem. Teraz nie nadawały się do użytku. Bursztynowe okulary w masce stopiły się, a zwęglona skóra selskina kruszyła się pod najlżejszym dotykiem.

Strażnicy szybko odarli dziewczynę z resztek pancerza, po czym spętali jej ręce i nogi. Następnie owinięli ją obrusem zabranym ze składu rupieci Ebbitta i wynieśli przez najmniej uczęszczane korytarze, prowadzące do Sali Koszmarów.

Nie przemknęli niezauważeni. Później wielu wybranych przypomniało sobie o czterech obszarpanych posiniaczonych i krwawiących gwardzistach, niosących między sobą nieruchome ciało. Teraz świadkowie myśleli, że strażnicy pozbywają się ciała niższego po napadzie furii. Co było niecodziennym wypadkiem, ale się zdarzało.

Przechodnie nie widzieli niespotykane białych włosów Milli ani jej dziwnego ubioru. Miecz z rogu merwina również był owinięty w materiał. Pewien wybrany ubawił przyjaciół opowieścią o przygłupim niższym, który wpadł w szal i zaczął rozbijać wszystko nogą od slotu.

Jeden ze skrótów wybranych przez strażników okazał się wybitnie pechowy Ogród Centralny był olbrzymią wysoko sklepioną salą, pełną drzewiastych paproci, sadzawek o dnach wysadzanych małymi heliorytami i fontann, które tryskały kryształową wodą w niespokojnym rytmie. Zwykle nie przebywało tu więcej niż czterech przepełnionych melancholią wybranych. Tego dnia jednak najjaśniejszy Parl z błękitynów odtwarzał dla czterdziestu siedmiu najbliższych przyjaciół swoje dzieło, którym podczas turnieju poezji zasłużył sobie na Fioletowy Promień Zachwytu.

Parl recytował swój poemat, jednocześnie wypisując fantazyjnym pismem z błękitnego światła wszystkie trzysta osiemdziesiąt słów, z jakich się ów poemat składał. Wpadający do ogrodu strażnicy kompletnie zbili go z tropu. Zatrzymał się w połowie strofy, a świetliste litery popadały na siebie, tworząc raczej paskudną zielono-brązową chmurę, która złowrogo zawisła nad publicznością.

Minęła dłuższa chwila, nim widzowie pojęli, co się stało. Kiedy zrozumieli, zwrócili swoje helioryty ku strażnikom, by posłać im Czerwone Promienie Niezadowolonia i zaprotestować w ten sposób przeciw znieważaniu geniuszu Parla. Podczas gdy wybrani ograniczyli się do błyskania heliorytami, ich mrokostwory podniosły się z podłogi i zaczęły pokazywać strażnikom obraźliwe gesty, odzwierciedlając prawdziwe uczucia swoich panów. Strażnicy nie zatrzymali się nawet, by ofiarować Błękitne Promienie Uniżonych Przeprosin. Przez publiczność przebiegł szmer oburzenia, a Parl opadł na posadzkę szlochając i roniąc łzy do jednej ze zdobionych heliorytami sadzawek.